ROK II. Nr. 51 (100) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 25 grudnia 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Miłym naszym Czytelnikom życzymy Wesołych Świąt!

Nasz setny numer

„JUBILACI". PRACUJĄCY OD PIERWSZEGO NUMERU.



Eugenjusz Ratalski.



Leon Chejfec.



Henryk Fiedler.

Życzliwi współpracownicy piszą nam:

Małe, czarne czcionki, któremi dowodzi redaktor pisma, ustawiając je w szeregi, bataljony i pułki artykułów, idących na podbój szerokich warstw czytelniczych, mają przed sobą wielkie zadanie do spełnienia: Zniszczyć nieprzyjaciela, to znaczy zniszczyć ciemnotę w kraju.

Komuż nie życzyć w tej walce powodzenia i zwycięstwa? Komuż nie życzyć także, aby corychlej zjawił się u niego na kwaterze ten nieznany czarny żołnierz, potężny twórca jutra narodowego.

ZDZISŁAW DĘBICKI.

●

Niewinny Józef, współtwórca „Sennika Egipskiego", objaśnił sen o siedmiu krowach chudych, które ze smakiem pożarły siedem tłustych. Należy życzyć „Siedmiu Dniom" — jak my wszyscy chudym — aby się pożywiły siedmioma najtłustszymi, co przełożone na język katolicki, oznacza: miljon czytelników, rozwój wspaniały i chwałę wielką. „Siedem dni" osiągnie to bajeczne powodzenie pod warunkiem, że nigdy nie wydrukuje tego, co ja napiszę.

KORNEL MAKUSZYŃSKI.

●

Pisma mają podobieństwo do kobiet.

Są, jak poważne matrony, do których człowiek zbliża się z namaszczeniem, aby usłyszeć dostojną, a często gorzką prawdę.

Są inne, opryskliwe i kłótliwe jak kumoszki, pretensjonalne i narzucające się, puste a zarozumiałe.

Są nawet takie, na które nikt nie spoglądnie, a żyją.

Inne wreszcie posiadają wdzięk młodości, świeżości i urody.

Do tego ostatniego rodzaju zaliczam „7 dni".

Miło na nie spoglądać, a najmilej przeczytać je od deski do deski.

WITOLD BUNIKIEWICZ.

●

SETNY numer pisma? Cóż to za uroczystość?

Każdy numer pisma powinien być:

SETNY,

t. zn. „znakomity, wyborny, doskonały, porządny" (p. Słownik języka polskiego.).

BRUNO WINAWER.

●

Jubileusz to szlachetny —
gdy się robi numer setny —
niech się nowa setka zacznie:
„raz na tydzień—ale smacznie!"

STANISŁAW STRUMPH-WOJTKIEWICZ.

●

DO NACZELNEGO KIEROWCY „7 DNI".

Wydałeś sto numerów? Nie z tego bądź hardy,
Choć orałeś i w dziennych i nocnych godzinach —
Ale z tego, żeś przeżył krzykliwe Packardy,
Co na koszt Twój jeździły wciąż po... karnych szynach...

JAN PIOTROWSKI.

Grupa sześciu o „dniach siedmiu"

Motto: Jest nas sześciu cichych robotników,
a wśród nas niewidzialna niedziela.
Platon (ale nie grecki Platon,
tylko Zyberk Platon).

Grupa Sześciu, tajemnicza mafja, rozciągająca od niedawna swoją intelektualno-krytyczną działalność na różne dziedziny życia nadsyła nam tekst rozmowy o naszym tygodniku.

Rozmowę tę zamieszczamy z prawdziwem zainteresowaniem, uważając ją za ciekawy objaw specyficznego humoru:



Portret uchwycony został w momencie, kiedy panowie, po skończonej rozmowie i zapłaceniu rachunku, szli do domu.

FELICJAN T.: (Sceptyczny twórca pesymistycznego portretu). Zdolny malarz ale O! cóż za wstrętny charakter: 7 DNI... Cóż to za pismo? Czy możnaby coś o tem powiedzieć?

ELECZEK K.: (Złote, oszukiwane serce) Gdyby ktoś ośmielił się niekorzystnie wspomnieć o siedmiu dniach, otrzymałby odemnie po mordzie, więcej nawet, mózg jego rozproszyłbym po kaloryferach, powiem więcej jeszcze, miałbym doń cichy żal.

ZYGMUNT J.: (Malarz pięknych kobiet) Ilekroć, spotykam którego z redaktorów tego pisma, wracam do domu kompletnie zalany, sądzę, że pismo jest niezłe.

IGNACY B.: (Rozmarzony mechanizm) Miałem dziwny sen. Śniło mi się siedem krów chudych w poszukiwaniu siedmiu kłosów pełnych. Obudziłem się z silnym bólem głowy. Nazajutrz sen się ziścił; w porannym numerze Siedmiu Dni ujrzałem na okładce wyraźną siódemkę. O! cóż za tajemniczy zbieg okoliczności. Tak szybko i dokładnie nikt nie obsługuje swojej klijenteli.

ALEXANDER Z.: (Organizm stworzony li tylko ku rozpuście) 7 razy na tydzień dobry befsztyk z cebulką, 4 razy na tydzień tłusta kobieta, raz na tydzień 7 Dni. — I to jest moje życie, co dalej?

LEON CH.: (Człowiek à la minute) Pismo to podoba mi się, zwłaszcza okładki, — ja je robię. Płacą mi nieźle, gdyby mi płacili grubo lepiej uważałbym pismo za grubo lepsze.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

KWADRANS DUSZY

Wydawnictwo „7-miu Dni", wierne — jak na polskie pismo przystało — tradycji i dobrym obyczajom, zwróciło się do mnie z prośbą o napisanie feljetonu gwiazdkowego. Rozmowa odbywała się oczywiście przez telefon.

— Jaki to ma być feljeton? — zapytałem.

— Dobry!

— Złych wogóle nie pisuję — warknąłem w słuchawkę: — Jak długi?

— 120 — 150 wierszy.

— All right. Płatny — jak?

— Gotówką.

— Ważny szczegół.

— Po otrzymaniu rękopisu.

— Przykry szczegół. — Honorarjum podług tabelki B)?

— Podług tabelki A). Teraz ciężkie czasy.

— Owszem, ciężkie, ale wpierw dowiem się, po czemu w tym roku wyborowe bakalje..

Zatelefonowałem do zaprzyjaźnionego ze mną sklepu kolońjalnego. Okazało się, że po 10 złotych.

— Żądam tabelki B) — oświadczyłem stanowczo, łącząc się z „7-ma Dniami".

— Powód?

— Kilo bakalji 10 złotych.

— To pańskie ostatnie słowo?

— Przedostatnie.

— ?

— Przyślijcie dziś jeszcze zaliczkę.

— Rekin!

— Zdzisław mi na imię. Czołem.

— Przysyłamy!

— Czekam. Czuwaj!

— Ale feljeton będzie wzruszający?

— Będzie. Dam wam kwadrans duszy.

*

Łatwo komuś obiecać kwadrans duszy, trudniej go dać. Właśnie zacząłem bardzo nastrojowo o śniegu i o janczarach, i o synu marnotrawnym, co się, szelma, zgrał w pokera i jechał na Wilję, trawiony wyrzutami sumienia — (poleciał, jak warjat, z czterema siódemkami, i trafił na cztery asy...) — gdy raptem zaterczał telefon. Zirytowany, że mi przerywają kwadrans duszy, podniosłem nerwowo słuchawkę.

— Allo?

— Tu krawiec Portaljański. Życzenia wesołych świąt.

— Nawzajem.

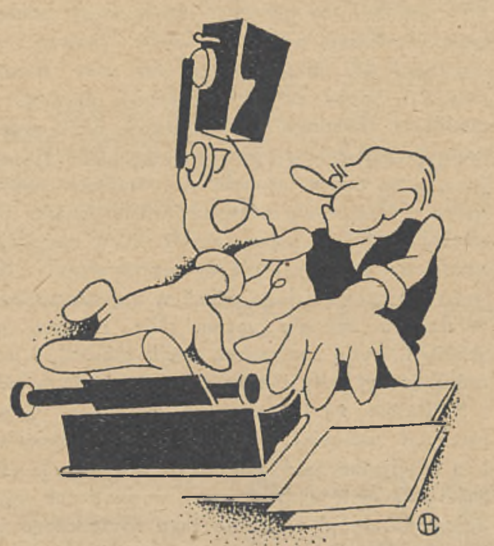
— Czy pan redaktor nie byłby łaskaw uregulować przed świętami rachuneczku za...

— Nie byłbym!

Powiesiłem słuchawkę.

—Tfu! — zdenerwowałem się: — I pisz tu o janczarach!

Jednem pociągnięciem zerwałem z mojego wiecznego Underwooda rozpoczęty feljeton. Zastanowiłem się sekundę. Hm... Co-by tu takiego...? Nakręcenie na maszynę czystego arkusza papieru było sprawą jednej sekundy. I już znowu stukałem. Stukałem o takiej aktorce, w której się kochał beznadziejnie jeden hrabia, i ona wciąż nic, aż ją, przed samą Wilją, ruszyło. „Niepodobna — powiedziała sama do siebie (ta aktorka) — żeby się biedak przez całe święta zamartwiał na śmierć. Ostatecznie, choć jesteśmy wszyscy grzesznymi ludźmi, jest to pora pojednania. Gotowe mu się na mózg rzucić. Wezmę, zatelefonuję, żeby mi przywiózł sigi, kawioru, butelkę białego, jeżeli chce, to jeszcze jaki drobiazg... i wyprawimy sobie wspólnie Gwiazdkę. A Karolinie powiem, żeby staropolskim obyczajem zrobiła postny barszcz z uszkami i położyła mu pod talerz trochę siana: przecież osioł jest, jakich mało. Siano będzie à propos..."



Tak rozmawiała, sama ze sobą, moja aktorka, i kwadrans duszy ślicznie dojrzewał, i byłby pewnie wspaniale dojrzał, (jak przystało na rok 1930 i roku tego sentyment...) aż tu raptem — trrrrrrrr — znowu zadzwonił przeklęty telefon.

— Allo? — wrzasnąłem w słuchawkę.

— Czy to pan redaktor Kleszczyński?

— Ja! Kto mówi?

— Kupelman. Szanowanie dla pana redaktora. Jak będzie z tym wekselkiem?

— Z jakim znów wekselkiem? Przecież cztery już wykupiłem!

— Został jeszcze piąty, ostatni.

— Po Nowym Roku, panie Kupelman.

— Nie lepiej byłoby *przed*?

— Nie, nie lepiej.

— Może choć a conto?

— Wykluczone!

— To wesołych świąt życzę. I spełnienia wszystkich pragnień.

— Dziękuję. Już się spełniają!

Drżącą ręką zerwałem z koleji z Underwooda aktorkę. Nie, w takich awarunkch kwadrans duszy, to kpiny! Ale cóż robić? Napisać trzeba. Koniecznie trzeba. Wzięło się zaliczkę. Inaczej nie wypada. Zresztą, człowiek ma się podać w przyszłym roku kalendarzowym o państwową nagrodę literacką „Za training"...

*

I zacząłem po raz trzeci, tym razem już zupełnie klasycznie i wzorowo. O takiej biednej szwaczka, którą uwiódł nicpoń, syn pryncypała. Sierota połyka cienką herbatę, zmięszaną ze łzami, aż tu otwierają się drzwi, wchodzi, syn pryncypała z choinką pod pachą, kładzie (niby tej szwaczce, sierocie) cztero karatowy brylant na palec i mówi (niby do tej szwaczki, sieroty):

— Wiesz, Karolciu, ja się z tobą w karnawale żenię...

— Trrrrrr... zadzwonił mi nad samem uchem telefon.

Drgnąłem. Nie, to można naprawdę oszaleć!

— Allo?

— Czy to ty, Skarbie?

— Ja. — Kto mówi?

— Nie poznajsze mojego głosu, Niedobry?

— Niewiem, czy jestem Dobry, czy Niedobry.

— A głosu nie poznaję. — Z kim mam zaszczyt?

— Czy to pan Karol przy telefonie?

— Nie żaden Karol, tylko Zdzisław!

— Jakto?! To nie ty, Króliczku?!

— Nie! Tu nie żaden „Króliczek", tylko literat polski, Kleszczyński! Zdzisław Kleszczyńs-ki!

— Więc to nie jest mieszkanie pana Kobuziewicza???

— Nieeeeee!

—Przepra...

— Tu trrrrrupiarnia przy szpitalu Jana Bożego!

*

Darujcie mi, Czytelnicy, że kwadrans duszy tym razem spalił na panewce. Na przyszły rok, jeśli dożyjemy, napiszę Wam śliczny feljeton gwiazdkowy ze zmarźniętą sirotką, albo z nawróconym łotrem. Dzisiaj nie jestem w stanie. W głowie mam bigos. Krawiec Portaljański, lichwiarz Kupelman, i ta idjotka, dzwoniąca do pana Kobuziewicza... Boję się, że przy takim uroczystym dniu splamię się, niedaj Boże, krwią ludzką... Basta!

KORNEL MAKUSZYŃSKI.



Przez całe życie miałem wiele do czynienia z dziennikarstwem, to też ze złego nałogu czytuję gazety. Ba! był czas w zaraniu mej młodości, kiedy potrząsałem lwią grzywą i wydawałem na świat dzikie okrzyki radości, „praktykowałem" w jednem wielkiem piśmie. Wtedy to, trochę z figlów, a trochę z racji t. zw. „wierszowego" wysmażyłem do numeru wielkanocnego bujdę o „Święconem u Beduinów", w której osłupiałym Polakom oznajmiłem, że smagły ten, nigdy nie kąpiący się, a rycerski ród, robi sobie na Wielkanoc pisanki ze strusich jaj, które maluje na szkarłatno(!), przyczem szeik szczepu odśpiewuje jakąś radosną pieśń. Piękne były słowa tej pieśni, ze wspaniałą znajomością rzeczy przezemnie wykoncypowane. Historja była tak śliczna i tak „okolicznościowa", że cała prasa prowincjonalna przedrukowała ją z zachytem. Najcudowniejsze zaś było to, że po roku moje własne pismo powtórzyło ją łapczywie, przedrukowawszy ją z jakiegoś... ludowego tygodnika.

Była to jedna z owych przedziwnych opowieści, będących odmianą, rzewną coprawda i wzruszającą, straszliwej historji o „wężu morskim", który przez dziesiątki lat, długi, tęczowy, potężny, nieuchwytny, bajeczny, wspaniały, groźny i głupi, pływał po wodach wszystkich gazet, strasząc uczciwych ludzi. Porządny dziennikarz zawsze podczas posuchy tematów ratował się tem dobrem zwierzęciem, któreby zawyło z rozpaczy, gdyby wiedziało, co o niem pisano, gdzie go widziano, jakie przypisywano mu zbrodnie i nieładne postępki. Klasyczny „wąż morski" była to zwyczajna świnia, napadająca statki i topiąca całe flotylle nieszczęsnych rybaków, którzy, na szczęście, żyją zdrowo do dzisiaj. Tego to węża doił każdy dziennikarz, jak krowę i robił z tego śmietankę sensacji. Gdzieś się potem, szelma, zapodział. Albo zdechł w niełasce, albo też tak się wszystkim przejadł, że poczciwi ludzie mogli zdemolować redakcję, z której byłby jeszcze raz wypłynął. Żal mi go bardzo, bo siał trwogę, podnosił włosy na bałwaniastych głowach, a biednemu dziennikarzynie zawsze parę groszy kapnęło z dymiącej jego paszczy. Zdawało się, że z nim razem utonęła w odmętach piękna bajka o tęczowych straszliwościach. Gazeta posmutniała, bo wszystko zaczęło się w niej dziać naprawdę, a to jest nie do wytrzymania. Bez węża morskiego i jego dzieci w najrozmaitszych odmianach, żyć nie można. Nic nikomu nie szkodził, wielu nastraszył, wielu zabawił; i wilk redaktor był syty i koza publiczność była cała.

Myślałem, że już zczezną na amen, a oto patrzcie! patrzcie! Zostawił łajdak potomstwo i to tak liczne, jak to tylko potrafi potwór długości 387 metrów, widywany w okolicach wysp Salomona. Skąd wziął do tego rozrodczego interesu odpowiednią samicę, tego nikt nie wie, bo o niej nigdy jakoś nie pisano, jest jednak rzeczą oczywistą, że nigdy tego potomstwa nie wałęsało się po świecie tyle, co teraz właśnie. Ponieważ rok się skończył, postanowiłem uczynić krótki przegląd, będący bilansem ludzkiej przemyślności; jest to przegląd niekompletny, oparty jedynie na produkcji prasy krajowej. Zagraniczna ma własną, i to niepospolitą wylęgarnię wężów morskich. Rzecz w tem, że się to teraz inaczej nazywa; w dawne dziecinne bujdy nikt już za swoje pieniądze nie chce wierzyć; ludzie stali się chytrzy i jeden wąż im nie wystarcza, — dawaj takiemu zaraz sensację prima, bo jeśli ty jej nie wysmażysz, to ją skleci kto inny, z większą fantazją.

W ten to sposób powstały najprzedziwniejsze opowieści dziennikarskie, śliczne, rzewne, straszne, okropne, dreszcz budzące opowieści, które, jak żyd, wieczny tułacz, wałęsają się po świecie, od gazety do gazety i nigdy nie zaznają spocznienia. Wiatr je rozsiewa, jak nasiona tęczowych kwiatów, podają je „dęby dębom, bukom buki", babki chyba opowiadają ją dzieciom, a dzieci swoim dzieciom, aż się wreszcie wszystkim znudzą i ktoś kogoś wreszcie trzaśnie w pysk za taką sensację.

Wężowe te historje robione są wedle kilku szablonów, tak, jak „historyczne anegdoty". Bohaterem i autorem tej samej anegdoty jest w jednem piśmie Henryk IV, w drugiem prezydent Taft, a naprawdę zrobił ją Salo Kugelman „na górce" u Semadeniego. „Niezwykłe opowieści", drukowane zazwyczaj w rubryce „Rozmaitości", albo „Z szerokiego świata" robi się szablonowo, lecz tak pomysłowo, że ohydnego trzeba niedowiarstwa, by ich nie brać na serjo. Spotykam je od lat wielu w najcudowniejszych warjantach, zależnie od talentu tego wesołego łapserdaka, co ten bigos przyrządza. Aby najmłodszej braci dziennikarskiej ułatwić orjentację w głównych szematach, podaję ich kilka najtypowszych i najczęstszych. Jest to surowy materjał do obrobienia, mimo tego, że wszystkie te typy były już obrabiane po sto sześć razy.

Oto one:



WINIA ZJADŁA DZIECKO

Jest to historja przeraźliwa, bardzo wzruszająca czytelników z prowincji, ludność rolniczą i pasterską. Na przedmieściach ma powodzenie ogromne. Powinna się dziać zawsze na Węgrzech, gdzieś na puszcie. Dziecko zostawione bez dozoru, ojciec poszedł do miasteczka po lekarstwo, matka w polu. Świnia postępuje, jak świnia i odgryza nieszczęsnemu dziecku nos. Wypadek może być śmiertelny, ale lepiej nie. Do świni odnieść się z nieukrywanem oburzeniem.



RZEWO, KTÓRE ZJADA LUDZI

Teren akcji: puszcza w południowej Ameryce. Od czasu do czasu giną bez śladu wielcy podróżnicy, a nikt nie może dojść przyczyny. Dopiero Jack Richmond z Sao Paolo, cudem ocalony, odkrył, że istnieje drzewo, które śpiących w jego cieniu porywa koszmarnemi ramionami gałęzi i wrzuca ich do dziupli, jak do paszczy, albowiem żywi się tylko ludzkiem mięsem. Tubylców nie tyka. Zakończyć uwagą, że natura miewa straszliwe tajemnice.



ZY KOLUMB BYŁ ŻYDEM?

Kwestja ta, wiecznie otwarta, jest wybornem polem pod zasiew domysłów. Zależnie od kierunku pisma, można wielkiego żeglarza, albo bez litości obrzezać, albo pozostawić go w spokoju i w stanie nieuszczuplonym. Sprawy rozwiązywać nie należy, wyrokować nie trzeba, lecz użyć domyślników, nie angażując się w żadną stronę. Wtrącić kilka dowcipów o morskich Żydach, zamknąć uwagą, że jeśli Kolumb był ostotnie Żydem, w takim razie odkrycie Ameryki było największym szwindlem od stworzenia świata.



AŁŻEŃSTWO SIÓSTR SYJAMSKICH.

Jest to historja bardzo oklepana, nie tracąca jednak nigdy na wartości, gdyż każdej chwili może być zaprawiona pieprzem erotycznym. Ludzie strasznie lubią się zastanawiać nad tem, co robi jedna siostra, kiedy druga ma do męża interes, bardzo prywatnej natury. Na tem tle powstają wśród czytelników spory i dyskusje, bardzo dla pisma pożyteczne. Historję tę należy zakończyć zawsze wiadomością, że siostry postanowiły rozdzielić się operacją „od stołu i łoża", ale żaden chirurg nie chce się tego podjąć. Łezka.

ŻEBRAK MILJONEREM

Temat doskonały. Rzecz dzieje się albo w Paryżu (należy podać bardzo dokładny adres, najlepiej z byle etykiety francuskiej), albo w Nowym Yorku. Znany żebrak, jednego dnia znika z posterunku. Okazało się, że umarł na barłogu, w którym znaleziono dwieście tysięcy dolarów, polisę ubezpieczenia na życie i dowód własności drapacza chmur, mającego 35 pięter. Cyfrę dolarów i ilość pięter można podnosić dowolnie, lub zmniejszać, zależnie od wymagań czytelników.

PODWÓJNE ŻYCIE KASJERA

Historja o podkładzie dramatycznym. Biedny kasjer, w dzień jest nieszczęsnym wywłoką, w nocy szaleje. Bywa u Ritza, w Operze i w najdroższych barach. W krawacie czarna perła. Peruka. Kochanka z najdroższej sorty. W domu żona suchotnica i dziatki, nieświadome, że ojciec taki drań. Zdemaskowany przez dyrektora instytucji, z którym się spotkał u modnej kokoty (Marja Antonina Duval Chausée d'Antin 143) — popełnia samobójstwo. Na Londyn zmienić adresy i nazwiska.

PAZNOKCIE POLI NEGRI

Opowieść przeraźliwa i bardzo bolesna ze względu na dziesiętny system paznokci. Czarna Pola każe sobie robić maniucure, w nocy nie może spać i bardzo jęczy, a rano odpadają jej wszystkie paznokcie. Bardzo tem zmartwiona skarży do sądu maniucurzystkę, która rzewnie płacze i zabija się ze słowami „Sic transit Gloria Svanson".

Rzecz znamienita dla kucharek, panienek z masarni i hrabin od magla.

OKRĘT BEZ ZAŁOGI

Jako świadków zajścia, należy podać okręt holenderski z pełną nazwą i okrętu i kapitana. Okręt holenderski napotyka na pełnem morzu inny, który wykonuje dziwne ruchy, lecz nie odpowiada na sygnały. Po wejściu na jego pokład okazuje się: że nikogo żywego, ani umarłego niema w kajutach, że w koi kapitana stoją na stole trzy nakrycia i herbata, jeszcze ciepła. Jeśli ciepłota herbaty wygląda cokolwiek przesadnie i komuś może się to wydać podejrzane, należy bez zwłoki postawić butelkę whisky, dla której temperatura jest cokolwiek obojętna. Historję tę spotkałem najmniej ze trzydzieści razy i bardzo mi się podobała. Jest ona niezawodna, zbliża nas do morza i budzi myśli o duchach.

MĄŻ WŁASNEJ CÓRKI

Opowieść bardzo znana i parokrotnie powtarzana w niedzielnych numerach. Najczęściej dzieje się w Łodzi, rzadziej w małym miasteczku węgierskiem. Przed wielu laty wyjechał do Ameryki młody Żyd, pozostawiwszy w miejscu tragicznej akcji żonę i córkę. Wraca po latach, nikogo nie zna, zresztą wszyscy pomarli. Poznaje panienkę, bardzo miłą i uroczą sierotę, wskutek czego żeni się z nią z miejsca. Podczas nocy poślubnej, żona, opowiada mu o ojcu z Ameryki, o nieszczęsnej matuchnie i o tem, że ją przygarnęli obcy ludzie, którzy jej dali nazwisko. Amerykański pan młody wyskakuje z krzykiem z łoża, traci zmysły, alias warjuje, córka zaś jego (bo to była ona) topi się, a jeśli rzecz dzieje się w Łodzi, skacze z piętra.

Inteligentny dziennikarz, zanim przystąpi do nowego warjantu smutnej tej historji, powinien przeczytać ustęp z „Heptameronu" Królowej Nawarry, p. t. „O tem, jak matka, nie wiedząc, że to jej syn, miała z nim córkę, z którą on się potem ożenił i co z tego wynikło."

Już dalej nie mogę. Gdybym zacytował kilka jeszcze wybornych tych opowieści, musiałbym postradać zmysły, jak ów nieszczęśnik z Ameryki, co własną poślubił córkę. A ja pragnę żyć!



Ulubieńcy publiczności, a zwłaszcza płci pięknej: Jan Kiepura, którego występ w Tosce cieszył się niezwykłem powodzeniem, oraz Pitigrilli, popularny obecnie autor powieści i nowel erotycznych, na którego odczycie duszono się na sali.

Ostatnie sensacje Warszawy

Urocze oczy.

Nikt nie wierzy tak silnie w możliwość „uroczenia" wzrokiem, jak mieszkańcy południowej Italji. Lud tamtejszy wynalazł najrozmaitsze środki zapobiegawcze przeciwko t. zw. „jettatura" (od łacińskiego jactara, rzucanie). Osoba rzucająca taki urok nazywa się „jettatore". Pierwszym środkiem obronnym jest *nie nazywanie* po imieniu takiego indywiduum. Najlepszym odczynnikiem, który należy jednak stosować natychmiast po spotkaniu się z „jettatore", to „zrobienie rogów" przez przyłożenie do czoła ręki z dwoma wysuniętemi palcami. Można też splunąć na ziemię lub dotknąć się żelaza. Różki metalowe lub z kości słoniowej przyczepione do łańcuszka od zegarka są podobno doskonałym amuletem. Najlepszem zaklęciem dla mężczyzny, jest złożenie rąk rąk i serdeczne westchnienie do zmarłego ojca.

„Jettatore" może nawet nie wiedzieć o tem, że ma tak fatalne właściwości. „Jettatora" może być dziedziczna w ciągu stuleci; dziedziczy ją przeważnie najstarszy syn. Człowiek, obdarzony urocznemi oczami wywiera zły wpływ nie tylko na ludzi, lecz i na przedmioty (może np. psuć maszyny).



Mały Romek K. na św. Mikołaja otrzymał, jako podarek radjoodbiornik „Detefon", który obecnie jest jego jedyną i najmilszą rozrywką.

„Cała Polska na Detefon".

Znów wracamy, jak i niejednokrotnie jeszcze powrócimy do tego popularnego hasła. Co ono oznacza? Oto, że kiedy w niedługim już czasie uruchomiona zostanie olbrzymia, radjofoniczna stacja nadawcza, największa nawet co do swej siły na świecie, — w Raszynie pod Warszawą — wtedy na całym prawie terenie Polski stanie się odbiór tej stacji oraz na terenie zasięgu stacyj lokalnych, możliwy na odbiornik detektorowy. *Detefon* jest takim właśnie normalnym odbiornikiem detektorowym i różni się od zwykłego odbiornika zastosowanym w nim przełącznikiem na fale krótkie i długie, co pozwoli na odbiór stacji lokalnej krótkofalowej i stacji Raszyńskiej, która posiadać będzie długą falę.

Przytem Detefon stanowi komplet składający się z odbiornika z kryształkiem, 1 pary słuchawek i materjału antenowego i instalacyjnego, tak, że nabywając Detefon, nie jesteśmy zmuszeni dokupywać do niego jakiekolwiek części.

Nadmienić musimy, wskutek niedokładnych informacyj, jakie przedostały się do wiadomości prasy, że konstrukcja Detefonu jest wnikiem pracy Inż. Rotkiewicza z Państwowej Wytwórni Łączności i została opracowana ściśle na zasadzie wymagań postawionych przez Dyrekcję Techniczną Polskiego Radja, które brało pod uwagę przedewszystkiem dostosowanie Detefonu do sieci stacji nadawczych Polskiego Radja.

ZYGMUNT KAWECKI.

Koniec świata

(FELJETON ŚWIĄTECZNY.)

Ponieważ dużo jest ludzi, którzy w dzisiejszym trybie życia biorą się do czegoś wprost przeciwnego, niźli to wypada z ich świadectw szkolnych i z ich przysposobienia do zawodowego usposobienia...

więc

też i *ja* — aby się utrzymać w nowożytnej formie istnienia i wegietowania — będę mówił i pisał — (choć jestem komedjowicz) — o rzeczach tragicznych i straszliwych.

Wybieram sobie dzisiaj, zgodnie z kalendarzem — i instytutem meteorologicznym — feljetonowanie o Końcu Świata. Ni mniej, ni więcej. O Końcu Świata.

Raz się żyje na pewniaka — a masę razy w palingenezie — zależnie od stosunków z ekierką —

to też...

skoro na pewniaka tylko raz — natedy dobrze jest zrobić niejako repetycją z ostatecznego spektaklu — bo, kto wie, może w ten sposób — natura, zdumiona naszym gieniuszem, profilaktycznym — zapomni posłać po nas — śmierć z kosą — i będziemy sobie wiecznie chodzić do jakiegoś wiecznego Langnera.

✻

Znajdujemy się w samym środku okresu, w którym oznaki zbliżającego się Końca Świata, walą się na nas, jedne po drugich, bez antraktów.

Nie mam tu na myśli, ani bestjalizowania się mas ludzkich dla walki z Bogiem i kapitałem — ani irytacji niżów i wyżów atmosferycznych, piorących miasta, pola i wsie, deszczami potopowemi, tornadami i tajfunami — ani czkawki wulkanicznej naszej kulki ziemskiej — ani przekręcania się pasów klimatycznych — który to cały repertuar biorę za najzwyklejsze nieusposobienie przyrody, przypominającej człowieczkom i Mussoliniemu, że i ona, od czasu do czasu, ma —

też coś

do powiedzenia, poza ludzką polityką — i szykowaniem przez narody gazów do wszechnarodowego wytruwania się.

Mam na myśli co innego. Oto: w jaki sposób prezydent stworzenia, alias człowiek, reżyseruje Koniec Świata — w życiu codziennem. Oczywiście, że w ten sposób znacznie sobie zadanie ułatwiam i umalam — i zamiast Dantem, robię się Dantyszkiem —

ale —

na co kogo stać. Nos mam dantejski — a wyobraźnię dobrotliwą i cywilną.

✻

Urządzanie Końca Świata w życiu codziennem wzięły na siebie w obecnem stadjum kalendarzowem — wszystkie trzy płci — kobiety — mężczyźni — i kupcy. (O dzieciach nie wspominam, bo rodzaj ten zwolna szczątkuje się).

Areną, sceną i stadjonem, na którym to galowe przedstawienie idzie — jest wszystko, co pod rękę lub obserwację wpadnie — i dom — i ulica — i biuro — i sklep — i restauracja — i tramwaj — i autobus — i szkoła — i redakcja — i piekarnia — i masarnia — i wszelka ludzka *ziajarnia*, to jest miejsce, względnie plac, na kórym ludzie „ziają" — aby godnie przygotować ten finał Świata.

Szczególnie żwawymi realizatorami Filmu Ostatecznego są kupcy. Dzięki to ich żarliwości — i dzięki ich gorącu psychicznemu — i dzięki ich nastawieniu na wystawienie — ulice miast stają się w tych dniach fatalnych — jedną wystawą, jedną wyprzedażą — jedną walącą się na przechodniów trąbą gwiazdkową — od której pochodu, jęku i skrowytu — wszystko się w inteligencji konsumenta wywraca do góry nogami.

— Cóż to, myślę sobie? Czyżby ta Polska — tak przez cały rok nic nie sprzedawała — że dopiero trzeba Końca Świata — aby ludzie kabzę wytrzęśli.

A tymczasem — w domach, już, jak z reguły przy trzęsieniu ziemi — meble zaczynają latać — obrazy spadać, podłogi jęczeć, naczynia rumolić, szczotki szaleć, trzepaczki strzelać, bielidła kurzyć, mydła pienić się, amoniaki gryść, chlorki szarpać.

Na ciała ludzkie, szykujące się do Sądu Ostatniego, niemasz już miejsc, ani w łaźniach, ani w kąpieliskach, ani w wypożyczonych do ablacji wannach.

— Cóż to, myślę sobie. Czy ta Polska cały rok nie czyści mieszkań, mebli i swoich własnych obywateli — aż dopiero, gdy w Narodzenie Chrysta — robi Koniec Świata?

W sklepach spożywczych, w przygotowalniach mięs i pieczyw i korzeni i słodyczy, (które to ostatnie przybierają w te hiobowe dnie nazwę *bakalji*) — idzie bój ludzi pogratyfikowanych, 13-to pensjonowanych — popożyczanych, pozastawianych — o wszelki kształt produkcji papalnej.

— Cóż to? — myślę sobie. Czy ta Polska cały rok nic nie je — aż dopiero wtenczas dorywa się do bańdziocha — gdy ma chwalić obżarstwem Narodziny Dziecięcia w stajence?

W bibliotekach alkoholicznych, nazywanych różnie — w zależności od rodzaju dzieł i procentu siły utworów — winiarniami, monopolarniami, piwiarniami, miodosytniami — idzie bój ludzi, przeczuwających już piekielną suchość gardeł — i obmierzłą czczość w larynksie zatroskanych alembicznie...

— Cóż to? — myślę sobie — czy ta Polska cały rok suszy, aż dopiero teraz tak się rozmaksza?

✻

Przyglądając się tej naszej zabiegliwości w gromadzeniu czystości mieszkań, odzieży i ciał — w zapasowaniu żywności staej i płynnej — w odkładaniu wszelkich budżetowych płatności — i innych pomniejszych zgryzot — *„na poświęta"* —

możnaby

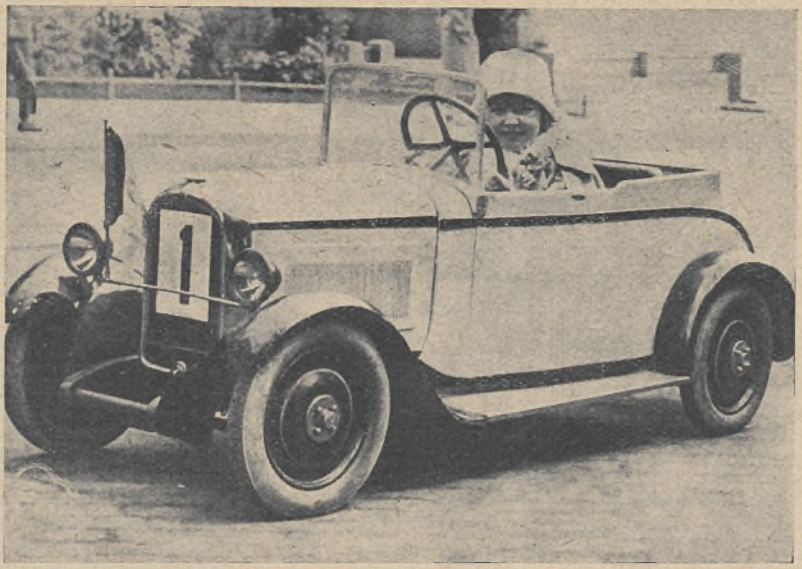
przypuścić, że szykujemy się na przetrzymanie Końca Świata — w warunkach hygienicznych, gastronomicznych, piwnicznych i familijnych, jak najdoskonalszych — i to wszystko oczywiście na złość Końcu Świata.

— Dobryś sobie, mój panie! My w ten sposób chcemy godnie przejść zaledwie przez dwa dni Świąt. U nas to tak! A teraz wyobraź pan sobie, jakbyśmy to się urządzili, gdybyśmy tak zechcieli naraz, przeżyć czysto, dodatnio i zapasowo — nie dwa dni — tylko cały jeden tydzień, albo nawet miesiąc! Strach pomyśleć, coby się tu wysiłku piekielnego skupiło! Świat musiałby mieć nie jeden Koniec Świata, ale *kilka Końców Swoich Własnych!* My — paniedziejski — nie lubimy być codziennie, po troszku porządni, czyści, dostatni, syci — my, paniedziejski, jak nic, to nic —

a jak

porządek i święto, to już jakby się świat miał zawalić!

Gwiazdka 1930



Gwiazdka — czyż istnieje bardziej radosny dzień dla dzieci? Rok cały śnią o chwili, gdy Św. Mikołaj odwiedzi je, przynosząc upragnione prezenty. Niegdyś sprawiało im największą r a d o ś ć wszystko: szabelka, lalka, konik, mundur. Dziś, w okresie lotnictwa i automobilizmu, śnią o przelotach nad Atlantykiem, o dalekich raidach samochodowych. Dziś byle brzdąc zna wszystkie marki samochodowe, a nawet wybrał już sobie jedną z nich, jako przedmiot swych marzeń. Dziś na mały samochodzik sprężynowy patrzą z pogardą.

Cóż znaczy taki samochodzik w porównaniu z samochodem elektrycznym, będącym wierną kopją dużego samochodu.

Cóż za rozkosz móc usiąść przy kierownicy, włączać biegi i mknąć po parku wśród zazdrosnych rówieśników.

A teraz, w przededniu Gwiazdki, wiele dzieci nie przestaje myśleć o salonie wystawowym firmy Citroën, wszak znajdą się tam piękne, małe samochodziki, przedmiot ich marzeń.

Często widzi się przed wystawą małego chłopczyka, lub dziewczynkę, którzy pożerają wprost wzrokiem samochodziki elektryczne. Od czasu do czasu patrzą też ukradkiem ze szczerym zachwytem na stojący obok piękny, wykwintny, duży samochód i w myślach obiecują sobie wiele, wiele przyjemności, gdy staną się właścicielami takiego samochodu, jak dorosną.

A tymczasem posiadać bodaj ten mały!

DR. KAZIMIERZ RAKOWSKI.

Przepisy dobrego tonu z przed stuleci

I.

Europejskie społeczeństwa, z właściwem młodym cywilizacjom poczuciem wyższości, które nierzadko polega poprostu na ignorancji, skłonne są uważać cywilizację Europy za szczyt kultury, do jakiej wzniosła się kiedykolwiek ludzkość. Jest to jednak złudzenie.

Istnieją dokumenty, odzwierciadlające stan kulturalny szczepów nam, europejczykom, a zwłaszcza słowianom, nawet bliskich, bo dotyczące praojców narodów aryjskich. Mamy na myśli „Księgi Mądrości Manu", w których ujęte jest prawodawstwo szczepów aryjskich z czasów osiedlania się ich w Indjach. Jest to pochodzące mniejwięcej z przed 4-ch tysięcy lat systematyczne opracowanie przepisów Wed czyli świętych ksiąg pierwotnych Aryów. Z ksiąg tych czerpiemy dziś wskazówki, poświęcone jednej tylko stronie życia kulturalnego, — przepisom o dobrem wychowaniu i umiejętności zachowania się należytego wśród ludzi. Wprawdzie po wielkiej wojnie w Europie uległy wielkiej zmianie zapatrywania na wagę tej strony życia społecznego, sądzimy jednak, że mniejsza lub większa aktualność tych przepisów z przed 4-ch tysięcy lat w niczem nie zmienia ich dokumentalnej wartości, na mocy której możemy zdać sobie sprawę z poziomu kulturalnego ówczesnego społeczeństwa, a może i wysnuć pewne nauki — dla chwili obecnej.

KOGO NALEŻY UWAŻAĆ ZA PRAWDZIWEGO GENTLEMANA?

Na określenie tego pytania niełatwoby się zdobył współczesny podręcznik dobrego tonu. Nasz mędrzec Manu jednem cięciem sprawę przecina, mówiąc:

Przyjmowanie prezentów od ludzi niegodnych szacunku, prowadzenie ciemnych interesów, wysługiwanie się dorobkiewiczom i mówienie nieprawdy: oto są cechy, po których poznaje się ludzi nienależących do dobrego towarzystwa. (XI-69)

Aby zaś nie mogło być nieporozumienia, filozof aryjski, najspokojniej wlicza szczegółowo rozmaite typy ludzi, którzy winni być wykluczeni od towarzyskiego obcowania. Pomijamy zwykłych kryminalistów (podpalaczy, trucicieli i innych) o których się wyraża, że gdy karę swą odcierpieli, nie należy im wprawdzie wspominać zbrodni, ale należy unikać ich towarzystwa; — pomijamy i tych nieszczęśliwców, których z powodu zaraźliwej lub przykrej dla oczów choroby, odradza na towarzyskie zebrania zapraszać(„*ludzie chorzy na suchoty, na epilepsję, trędowaci, chorzy na zapalenie gruczołów i egipskie zapalenie oczów, wreszcie umysłowo chorzy*"). Oto jakie charakterystyczne zestawienie podaje Manu (księga III. 155 — 167) typów niepożądanych w towarzystwie:

Człowiek, który żyje z tego co mu dadzą rodzice. Tancerz zawodowy. Asceta, który nie dochowuje ślubów zakonnych. Mąż, który w swym domu toleruje kochanka swej żony. Wierszokleta, piszący panegiryki. Fałszywy świadek. Syn, procesujący się z ojcem. — Pijak. Człowiek, który w skrytości stara się szkodzić swemu przyjacielowi. Właściciel domu gry.

Widzimy z powyższych cytat, że filozofowi naszych praojców Aryów nie tylko chodziło o formę, ale i o treść: że nietylko pragnął aby ludzie zachowywali się jak ludzie poprawni, ale aby mieli wszelkie zalety wewnętrzne. Pytajmy więc

jakież to zalety winny zdobić człowieka?

Manu mówi:

Czcij bogów, zachowuj się godnie wobec twych gości, oraz osób, oddanych twej pieczy, szanuj pamięć przodków twoich, a przedewszystkiem szanuj siebie samego: jeśli tego nie czynisz, oddychasz wprawdzie, ale nie żyjesz. (III-72.).

Szanuj swego nauczyciela dziesięćkroć więcej, niż jego pomocnika; — ojca szanuj więcej, jak dziesięciu nauczycieli; a matkę twoją więcej niźli tysiąc ojców. (IV-145.).

Szanuj pracę: dotknięciem ręki mistrza nigdy się nie zbrudzisz, gdy mistrz pracuje. (V-129.).

(d. c. n.)

NIE ODKŁADAJCIE SWOICH ZAKUPÓW NA OSTATNIE DNIE PRZEDŚWIĄTECZNE

SKORZYSTAJCIE z NASZEJ ZNIŻKI CEN PRZY KUPNIE PODARKÓW!

NASZE ODDZIAŁY SĄ OBFICIE ZAOPATRZONE W OBUWIE

9.90



Nr. 23—26 gat. 3651-70

Dziecinne filcowe śniegowce, niezbędne do szkoły i podczas mrozów. Tanie, ciepłe i wygodne. Chronią przed przeziębieniem.

24.90



gat. 1645—11

Czarne boksowe pantofelki, skórzany obcas z gumą. Do codziennego użytku i na niepogodę. Lakierowane lub kolorowe za Zł. 29.90.

19.90



gat. 1885-78

Gumowe śniegowce na ciepłej podszewce z patentowanym zamkiem. Chronią przed przeziębieniem.

19.90



gat. 3657—70

Śniegowce z ciepłego filcu, podeszew i obcas z gumy. Niezbędne w czasie słoty jak również podczas mrozów.

24.90



gat. 1645—41

Sportowy pantofelek z delikatnego cielęcego boksu. Ładna kombinacja kolorów.

14.90



Nr. 27—30 gat. 3762-22

Cholewka z przetłuszczonej skóry wołowej. Jedyna, trwała podeszew. Ten sam gatunek wyrabiamy też z bronzowego dull-boksu i cielęcego boksu.

12.90



gat. 1365—70

Nasze gabardinowe śniegowce uchronią Wasze balowe pantofelki od błota. Z aksamitnym mankietem za Zł. 14.90.

9.90



gat. 1345-03

Czarne prunelowe pantofelki na półwysokim obcasie, nadające się do śniegowców. Wraz z gabardinowemi śniegowcami tylko za Zł. 22.80.

9.90



gat. 9315-03

Eleganckie prunelowe czółenko nadające się też do śniegowców. Lekkie i zgrabne. W tej samej cenie też na paseczku.

5.90



gat. 1013—01

Damskie domowe pantofle z jednokolorowego filcu. Wygodne i ciepłe.

19.90



gat. 9775—03

Atłasowe pantofelki reniferowe do każdego koloru waszej sukni. Czółenka w tej samej cenie.

9.90



Kalosze gat. 6807—70

Na błoto są kalosze niezbędne. Natomiast w czasie mrozów i śniegu są najodpowiedniejsze gabardinowe śniegowce za Zł. 19.90.

24.90



gat. 3635—15

Wygodne pantofelki z delikatnego boksu. Szeroki fason niski gumowy obcas.

34.90



gat. 0697—70

Wysokie filcowe buty z cholewami. Podeszew i obcas z gumy. Nadają się specjalnie dla listonoszów, kolejarzy i t. d.

ODWIEDŹCIE NAS w PORĘ

Bata

WARSZAWA,
Marszałkowska 138

ŁÓDŹ,
Piotrkowska 87

WŁOCŁAWEK,
3-go Maja 33

GRUDZIĄDZ,
Rynek 1—2

INOWROCŁAW,
Królowej Jadwigi 31

POZNAŃ,
Plac Wolności 8

KALISZ,
Marszałka Piłsudskiego 35

BYDGOSZCZ,
Pl. Teatralny 3

TORUŃ,
Stary Rynek 35

LESZNO,
Dworcowa 6

KAŻDA PANI

znajdzie u nas wielki wybór pięknych, jedwabnych i wełnianych pończoch w cenie od 4.90 do 8.90 za parę.

KAŻDEGO PANA

zadowoli wybór naszych trwałych i ładnych skarpetek. Cena za parę Zł. 3.90.

STANISŁAW STRUMPH - WOJTKIEWICZ.



(NOWELA NAPISANA SPECJALNIE DLA TYGODNIKA „7 DNI".)

LIST POŁUDNIOWY.

„...miałem do Ciebie już nigdy nie pisać. Dlatego nie wiem jeszcze, czy oddam ten list na pocztę. Gdybym go jednak wysłał, to koperta z egzotycznym znaczkiem pocztowym doszłaby Ciebie gdzieś w karnawale. Mogłabyś na balu, w Resursie, powiedzieć swemu danserowi:

— Jest mi trochę smutno — bo właśnie dostałam list od mojego byłego męża.

I Twój danser pocieszyłby Cię — jakby umiał — i sądzę — że nie przyszłoby mu to z trudnością...

Już widzę Twoje niezadowolenie. Nie znosisz żadnych wyrzutów i aluzji. Pragnęłaś zawsze być tylko kochaną, pieszczoną, podziwianą i chwaloną. Kilka — czy kilkanaście moich uwag — czy próśb — w których był zawarty także i bolesny wyrzut — wystarczyło, żeby na zawsze ochłodzić Twoje serce, żebyś zdecydowała, że dla nas razem już szczęścia niema. I stąd zaczęło się wszystko. A przecież — mogliśmy się bardzo kochać i szanować.

Wcale nie o tem chciałem Ci pisać. Wszystko przepadło. Nie mógłbym wyobrazić sobie dalszego naszego pożycia. Przecież Ty nie miałaś nawet zwyczajnej litości nademną! Raniłaś nietylko ambicję męską — ale i serce. Jakżebym zdołał żyć w takiem piekle: świadomość, że uprawiasz grube flirty w myśl tak zwanej małżeńskiej „carte blanche" — była dla mnie zbyt okropna! Powoływałaś się na inne nasze znajome panie. Mówiłaś, że i Ty masz już dość nudy i uczciwości. Szukałaś swojego szczęścia — czy zdobyłaś je?

Chciałem jednak tylko opisać Ci tutejszą wigilję. Właśnie gwiazdka skończyła się i teraz jestem w swoim pokoju. Wszyscy już śpią. Przez otwarte okna wpływają ciepłe podmuchy wiatru. Mnóstwo gwiazd na niebie. Pod oknami już zakwitły róże i kamelje. Te kamelje — piękne, ale bezduszne — chłodne, obojętną, bezwonną barwą kwiatów i banalnym, jakby oleodrukowym wyglądem liści — przypominają mi Ciebie. Dlaczego nie rozumiałaś, że życie polega nietylko na formie, ale i na treści? Jak mogłaś zajmować się tylko strojami, zabawą i gospodarstwem? Przecież mnóstwo pięknych i mądrych spraw tego świata pozostało zupełnie poza malutką sferą Twoich zainteresowań. Pamiętasz? Zaczęliśmy razem studjować i pracować — i było tak cudownie w tym okresie? Myślałem, że już stajesz się moim dobrym przyjacielem. A Ty tymczasem poprostu zdradziłaś się—i zaczęłaś sobie tworzyć swoje drugie, nieznane mi, pospolite życie. Było to wprost niegodne!

Ach, przepraszam Cię — wszystko to już Ci powiedziałem. Nie zrozumiesz mnie zresztą nigdy, bo Ty rozumiesz genjalnie tylko to, co brzmi dla Ciebie miło i zabawnie.

No, więc posłuchaj — opowiedziałem w pensjonacie o naszej, polskiej wigilji. Dwie australijki (jedna jest redaktorką, a druga kupcem), które tu przyjechały na święta ze swojej Australji — niezmiernie zapaliły się do urządzenia takiej gwiazdki z choinką. Zamiast choinki ustawiono cyprys. Cały pensjonat robił zabawki. Najładniejsze były lwy i tygrysy, namalowane przez pewnego niemieckiego artystę. Oprócz tego wisiały na cyprysie złote laleczki arabskie i marokańskie. Zamiast jabłek — pomarańcze i banany. Był i anioł, ale uparłem się, żeby to był chłopiec, nie panna — i wszyscy zgodzili się na to. Nienawidzę teraz kobiet.

Zdrowie mi już dopisuje, tak, że nawet mogę trochę pracować. Na pierwszy ogien pójdzie studjum o sztuce ludowej. Wruszasz ramionami i pytasz: „komu to potrzebne?" O, z pewnością nie Tobie i nie Twoim warszawskim przyjaciółkom. Ale jedna z australijek interesuje się tą kwestją, a właścicielka pensjonatu podarowała mi zbiór tutejszych ludowych rysunków.

Namalowałem też noc południową i Twój portret z pamięci. Stoisz — wyprostowana i zła i coś wołasz strasznego — tak — jak wtedy, kiedy widziałem Cię po raz ostatni. Niemiec mówi, że obie rzeczy przyjętoby w paryskim salonie..."

LIST PÓŁNOCNY.

„...nie pisałabym do Ciebie, gdyby nie ważny interes. Mianowicie dziś — na Wiligji — byłam u Niusi. Zrobiono mi tam afront. — Ten Twój przyjaciel — specjalista od afiszów — zobaczywszy mnie — wyszedł. Nawet podobno powiedział coś niemiłego o mnie. Wszyscy mnie pocieszali, a potem było nawet bardzo miło, a ten malarz, za karę miał Wigilję na ulicy. Ale chciałabym, żebyś mu napisał od siebie. On rozpuszcza tutaj nieznośne plotki o mnie. Wszędzie rozgaduje, że Ty strzelałeś do siebie przezemnie. Jest podłym - plotkarzem i nie - dżentelmenem, jeśli tak mówi o kobiecie. Przecież nie może nic naprawdę wiedzieć — bo i ja i Ty mówiliśmy, że to się stało z powodu braku pieniędzy. Więc — jeśli gada bez podstaw — to kłamie. Musisz mu napisać, iżby się umitygował. Nie możesz pozwolić, żeby obrażano Twoją byłą żonę. Jaka była — to była — ale przecież zawsze żona.

Pozatem jest mi zupełnie dobrze. Nie myśl, że tylko Ty sam flirtujesz z różnemi angielkami i afrykankami. Poznałam w pociągu sekretarza poselstwa — zdaje się z Ameryki. Jest bardzo przystojny i ma palące oczy. Oprócz tego, wprawiłam się w tango z prawdziwym hiszpanem. On jest zdania, że polki są najpiękniejsze i najmądrzejsze. Cóż ty na to?

Wszyscy moi znajomi mówią, że Ty jesteś właściwie trochę dziwakiem i pocieszają mnie — jak mogą. Teraz tu są znów modne czarne kawy z dancingiem. Karnawał zapowiada się wyjątkowo, tylko mam kłopot z sukniami, bo z małżeństwa naszego wyszłam prawie w koszuli. Ja uważam, właściwie, że jeżeli mężczyzna nie potrafi dać kobiecie wszystkiego, to niech się nie żeni. Bo cóż to za miłość, jeżeli brakuje na suknię wizytową?

Kupiłam sobie teraz wszystko, bo sprzedałam trochę Twoich obrazów, które mi zostawiłeś. Oprócz tego pomagają mi moi prawdziwi przyjaciele, o których miałeś takie złe pojęcie. Zamąż nie wyjdę, bo chcę być wolna, to daleko przyjemniej. Właściwie powinniśmy się byli rozejść zaraz po ślubie — nie miałabym tylu przykrości. Teraz staram się poprawić swoją cerę, na którą to wszystko źle wpłynęło.

Jeślibyś mógł przysłać mi jaki obrazek afrykański, tobym go zaraz sprzedała, bo teraz tu są modne obrazki z Afryki. Gram w brydża i w pockera. Zaczęłam czytać powieść o Afryce, żebyś wiedział, że myślę także czasem o Tobie. Śnieg już padał i nawet był mróz, ale dużo błota na ulicy. Pewnie już wiesz, że Giga rozwodzi się? Ten adwokat, który kłaniał mi się zawsze na schodach — ma teraz nową kochankę — chudą, jak śmierć. Co on może widzieć w takiej tyce. Dziwni jesteśmy wy — mężczyźni! Ty, naprzykład, wcale nie widziałeś mojej urody, o której ten hiszpan mówi, że jest najbardziej moderne i że jestem stworzona tylko do miłości. Bardzo się cieszę jednak, że nie urodziłam się hiszpanką, bo tam podobno kobiety, choć też są piękne, ale prędko starzeją się.

Mąż Niusi powiedział mi na Wigilji, że się kocha we mnie, i że bardzo dziwi się Tobie, że rozstałeś się z takim skarbem— jak ja..."

Wisielczy humor przez łzy

(rzecz z przed lat 15-tu na froncie pod Ypres)

(Bystander).



— A któż to taką dziurę wywalił?
— Myszka wygryzła...



— Nie, frajerze, ty jej lepiej poślij tę fotografję w masce gazowej. Więcej ci w niej do twarzy...



Jak ci się nie podoba w tej dziurze, to sobie znajdź lepszą — abyś tylko przeszedł..



— Te, postój no, mała, aż zejdę z warty!...



— Wiesz co, bracie, wróćmy lepiej na front — tam bezpieczniej...

LEOPOLD MARSCHAK. (fot. Ruan.)

Stolica przed świętami



Stosy choinek na placu Napoleona.



Wystawy sklepowe nęcą przechodniów.

„Okres przedświąteczny", poprzedzający radosne dni świąt Narodzenia Bożego, znamionuje w Warszawie następujące symptomaty: 1) stosy choinek na wszystkich placach miasta, 2) napisy w oknach wystawowych „Specjalne okazje gwiazdkowe", 3) powszechna pogoń za gotówką, 4) wzmianki w dziennikach, zaczynające się od słów: „Trzynasta pensja w Magstracie...."

Zresztą — przykłady mógłbym mnożyć w nieskończoność, sądzę jednak, że i tych wyżej starczy, aby państwo przekonać, że okres przedświąteczny w Warszawie jest czemś zgoła specjalnem, czyli że ludzie w tym okresie własnie specjalnie są goli...

Niby zwykło się mawiać co roku: oszczędzajmy! Nie wydamy na święta ni grosza! Może na przyszły rok, jak czasy się poprawią... Ale — chłop strzela (trzesami!) a baba zakupy czyni. Zresztą kupowanie „zapasów" w okresie przedświątecznym jest tradycją, tem usprawiedliwioną, że za dawnych dobrych czasów święta w stolicy tydzień trwały ,poczem jeszcze następowały huczne „poprawiny".

Dziś — poprawiać niema co i niema za co, ale odwiedzanie sklepów w tygodniu przedświątecznym należy do dobrego tonu, tembardziej, że przecież „obejrzenie do kupna nie obowiązuje"...

*

Szanująca się gospodyni rozpoczyna wędrówkę przedświąteczną od Hal Targowych.

Więc: rybka tu, rybka tam, tu złotówka drożej, tam złotówka taniej, w rezultacie idzie do trzeciego kramu...

Im lepsza gospodyni — tem dłużej się musi targować wychodząc z „pryncypialnej" zasady: „przed świętami drą!"

Drą — to mało, ale że drą się, to fakt!

Wsłuchajcie się w rozgwar świąteczny Hal Targowych, bazarów, targowisk, ręczę, że najdoskonalsza płyta nie wytrzymałaby takiego natłoku dźwięków, takiej ich dyskakofonji!

Pękłoby niebożączce dźwięczne serduszko z przerażenia...

Jak brzmi świąteczny chaos i hałas przez moje radjo?

— Na choinkę złoto, na choinkę srebro!

— Oj, do cytryn! Oj, do jabłuszek!

— Do żymne ogień! Pali bez parzenia!

— Dla synka córeczki mam ładne laleczki!

— Okazja, szanowne panie! Brać, nie wybierać szanowni panowie! Damskie kombinacje po pięć złotych na choinkę!

A w to nagle wpada dyszkantem wołanie: Grzyby na święta! Grzyyyyyby!

Za Żelazną Bramą można dostać dostać literalnie wszystko: począwszy od choinki, a skończywszy na... kluskach z makiem, to też, im bliżej świąt — tem większy ruch, tem ciaśniej, tem weselej...

*

Na placach, gdzie wyrosły świerkowe gaje, targ rozpoczyna się na dobre dopiero na dwa dni przed Wigilją. Ceny drzewek, początkowo wysokie, spadają w miarę zmniejszania się natłoku kupujących; drzewko, którego cena stanowiła jeszcze wczoraj „dziesiątkę", dziś można kupić za pół ceny, a jeżeli „wielmożna osoba" będzie bardzo twarda — to i za cztery złote z odniesieniem starguje...

(Dokończenie na str. 27-ej)



Tu i owdzie pomyślano o reklamie świetlnej. na rogu Brackiej.



Na targowiskach wre od kilku tygodni ożywiony ruch. Bo grunt to „wsuwa"...

Impresje teatralne

Teatr Mały: „Lekkomyślna siostra" Włodzimierza Perzyńskiego. — Teatr Letni: „Pani ministrowa" Adama Grzymały - Siedleckiego.



Ludwik Boroński bawi beztrosko publiczność w teatrzyku „Nowy Ananas".

„Lekkomyślna siostra", wznowiona w teatrze Małym dla uczczenia pamięci niedawno przedwcześnie zgasłego jej autora, jest już dziś klasyczną komedją, dokumentem obyczajowym, i tak też traktować ją należy. Jest również polem dla popisu aktorskiego, jak rzadko. Widać to zwłaszcza na przykładzie gry p. Marji Przybyłko - Potockiej, której talent znów święcił tu wspaniały tryumf. Przecie pamiętamy jeszcze, jak znakomicie odtwarzała w tejże sztuce rolę Marji. Z tem większem zaciekawieniem oczekiwało się, jak teraz zagra rolę Heleny. I cóż się okazało? Jak dawniej, dzięki p. Przybyłko-Potockiej rola Marji wysuwała się na pierwszy plan, przysłaniając sobą wszystkie inne postacie tej sztuki, tak obecnie wystarczyło, że p. Przybyłko - Potocka objęła rolę Heleny — aby ta właśnie rola skupiła na sobie całą uwagę widzów. Twierdzono, coprawda, że były momenty przejaskrawienia (zwłaszcza w scenie spazmów), ale to zarzuty niesłuszne: poprostu nie jesteśmy przyzwyczajeni obecnie do mocnych akcentów aktorskich, do szczytów ekspresji dramatycznej, w których p. Przybyłko - Potocka jest mistrzynią. Nie zapominała przytem ani na chwilę, że gra nie w dramacie, lecz w komedji, umiała więc dramatowi Heleny w ramach komedjowych nadać odpowiednie groteskowo - charakterystyczne zabarwienie.

Jest w „Lekkomyślnej siostrze" jeszcze jeden epizod, który stale zwraca na siebie uwagę, tak wyśmienicie jest naszkicowany przez autora. To rola Ady, starej panny, w której niegdyś tak świetna była ś. p. Wanda Osterwina. Znalazła godną zastępczynię w Mirze Zimińskiej, którą już drugą swą rolą (po „Artystach") dowiodła swego całkowitego prawa obywatelstwa na scenie poważnej. Dopiero teraz wspomnimy o roli tytułowej, odegranej przez Marję Modzelewską. Nazwisko to mówi samo za siebie. Rola była zagrana świetnie, ale dwie poprzednie bardziej koncentrowały na sobie uwagę — oto suche stwierdzenie sprawozdawcze. Wszystkie role męskie, obsadzone przez artystów tej miary, co: Stanisławski, Daczyński, Wesołowski i Grabowski, odegrane były z wielką starannością.

Nowa komedja Adama Grzymały - Siedleckiego stoi artystycznie niżej nawet od „Maman do wzięcia", nie mówiąc już o „Sublokatorce", ale z pewnością cieszyć się będzie dużem powodzeniem. Jest bowiem zbudowana całkowicie na aktualnych dowcipach politycznych, a te



Stefan Jaracz jest największą atrakcją „Ulicy" Rice'a w „Ateneum".

(fot. Brzozowski.)

publiczność słucha zawsze z zadowoleniem. To też niewątpliwie będzie przez długie wieczory wypełniała szczelnie widownię teatru Letniego. Arcydoskonałą kreację stwarza tu Mieczysława Ćwiklińska w tytułowej roli „Pani ministrowej" z ludu. Partneruje jej z powodzeniem zespół teatru Letniego z „królem humoru", niewyczerpanym Fertnerem na czele.

Henryk Liński.



„Złote szaleństwo" — oto tytuł ostatniej rewji w „Morskiem Oku" cieszącem się zasłużonem powodzeniem publiczności. (fot. Brzozowski.)



Nowy prezydent ministrów francuskich, Steeg, wśród dziennikarzy, w chwili opuszczania pałacu elizejskiego.

Co słychać na świecie

Jakżebym szczerze pragnął, aby Gwiazdkę przynajmniej ludzie spędzili bez najmniejszej troski, zgodnie i radośnie, kolendując lub gwarząc o rzeczach miłych i przyjemnych. Lecz, że zgóry wiem, niestety, iż podobna sielanka jest niemożliwa, chciałbym zaproponować parę tematów, które pozwolą, być może, uniknąć drażliwych rozmów. Przeniesiemy się zatem, jeśli łaska, do Francji. Na jedną chwilę...

Nikt nie zapomni o tradycyjnym *réveillon* — wesołym i hucznym, jak zwykle. Jedni łączą tę tradycję wspólnej biesiady świątecznej z obchodem kościelnym Bożego Narodzenia, inni nie, jak kto chce... Lecz wszyscy prawie bez wyjątku, o niczem innem nie będą mówić w tym roku, jak tylko o poważnym kryzysie politycznym, który poruszył najszersze masy. Fatalna trzynastka — trzynasta zmiana gabinetu za prezydentury wiecznie uśmiechniętego „Gastounet'a" — trzynasta, przynajmniej w chwili, gdy piszemy te słowa, a być może — czternasta lub piętnasta, po zamknięciu naszego numeru, gdyż nikt nie wierzy w długotrwałość rządów Steega i wszyscy niemal wzdychają za dzielnym Tardieu. Gdybyż tylko chodziło o ten lub inny układ sił! Sprawa tym razem jest poważniejsza i wszyscy zdają sobie sprawę, iż coś tam szwankuje w samej zasadzie. Cóż to za święto dla przeciwników *régime'u* — zarówno dla tych, z krajnej prawicy — jak i dla przyjaciół Moskwy! *Les extremes se touchent*... A cały naród czuje, że Ojczyzna nie może być teatrem swarliwych marjonetek, a ważniejszem od rozbrojenia ludów jest rozbrojenie partyj, osłabiających jedność i burzących twórcze poczynania wybitnych jednostek.



Nowy poseł polski w [illegible], p. Alfred Wysocki.



Wspaniały puhar szczerozłoty, ofiarowany przez Amerykę na zawody yachtowe.

Tęsknym więc wzrokiem szukają Francuzi Poincaré'go, ręce wyciągają do Tardieu — lecz i to nie rozwiązuje sytuacji, póki istnieje stan rzeczy, przy którym każdy z wielkich polityków może się potknąć o sprzeciw, zgłoszony... trzema kreskami przypadkowej większości.

Przerzucimy się zkolei do Rosji, lecz że możemy uniknąć tej długiej drogi, zatrzymamy się u Emila Vanderveldego, który niedawno powrócił z Moskwy i niejedno może opowiedzieć o tem, co się dzieje za czerwonym kordonem. Pomijając szczegóły, do których wrócimy innym razem, dowiadujemy się, iż wieści o głodzie są grubo przesadzone. Brak niektórych produktów, inne, z racji chociażby polityki *dumpingowej*, sprzedawane są z ograniczeniem—na kartki, spółdzielnie funkcjonują daleko nie świetnie, budząc szereg protestów i nawet uprzywilejowana klasa robotnicza traci wiarę w przyszłość. Kolosalny plan „piatiletki" zdaje się istotnie przerastać siły narodu i może spowodować ostateczną katastrofę. I tu Vandervelde, pomnąc o tradycyjnej „dubinie", wyraża obawę, aby „czarna i straszliwa reakcja" nie zastąpiła czerwonego terroru, „narażając tem samem na nowe niebezpieczeństwo równowagę sił na świecie i mozolne dzieło budowania trwałego gmachu pokoju".

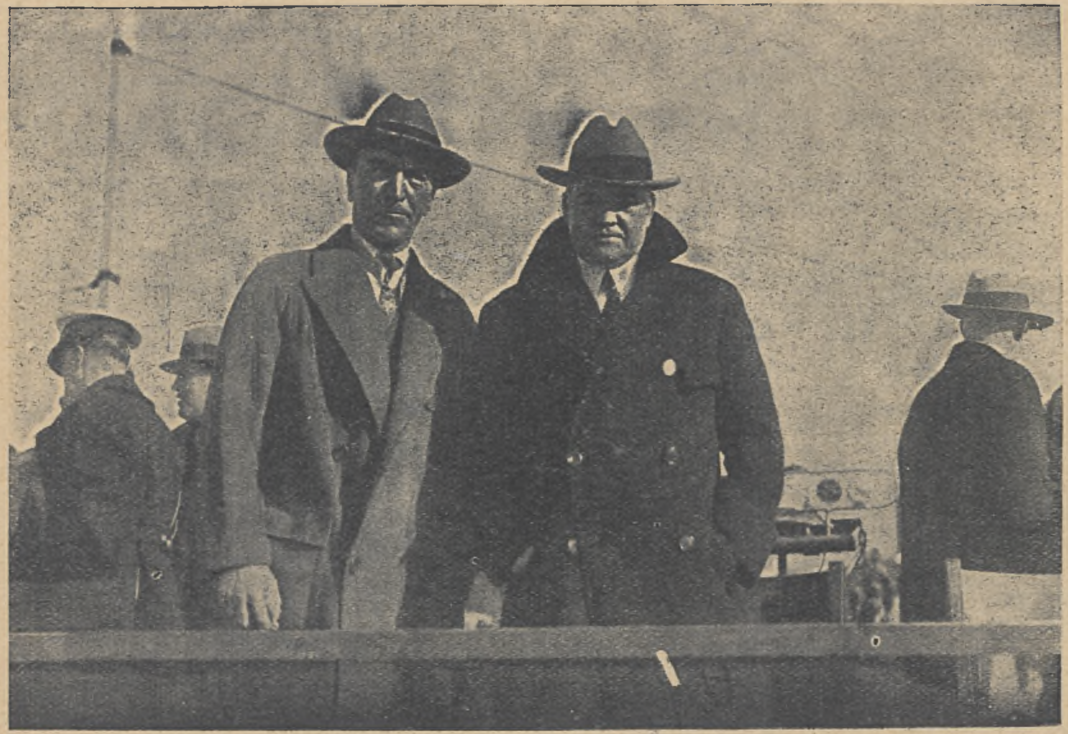
*

Cóż więcej? Jeśli jeszcze opowiem o walkach, toczących się w Hiszpanji, o rozdymającym się bucie italskim lub o hitlerowcach — Czytelnicy, miast życzyć mi pomyślności, przeklną mnie siarczyście, choć przecież za wszelką cenę staram się odwieść Ich myśli od naszych własnych bolączek.

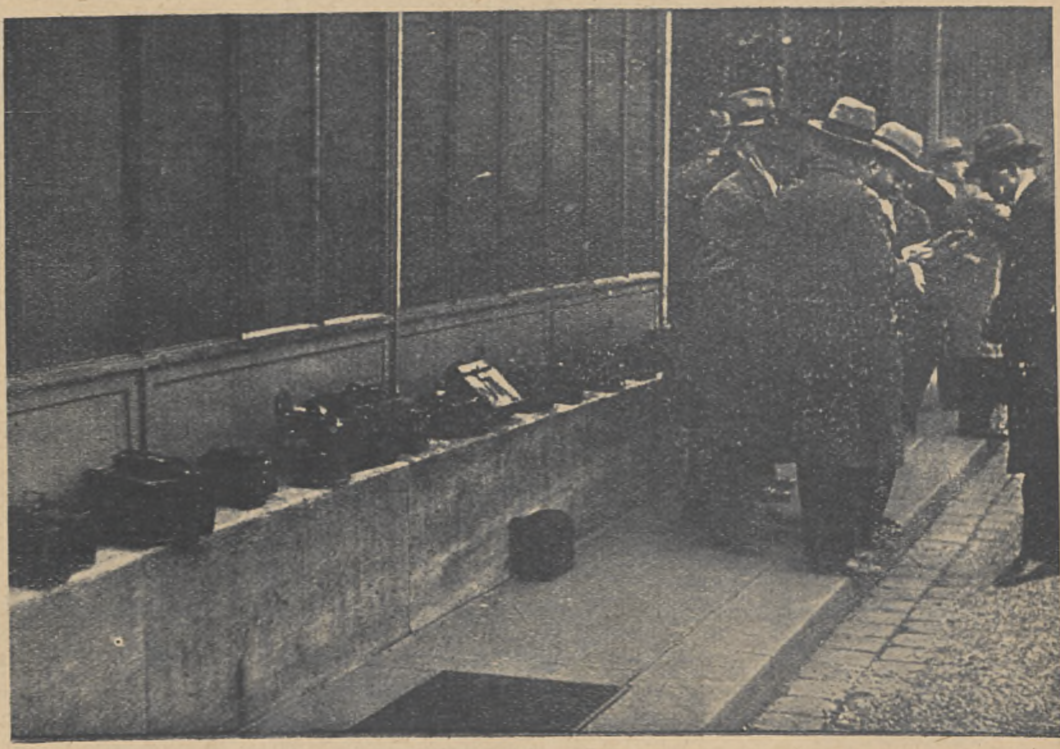
(r.)



Piękna rzeźba dłuta art. rzeźbiarza Wittiga, przedstawiająca króla Władysława Warneńczyka, przeznczona przez P. Prezydenta Rzeczypospolitej na podarunek dla króla Borysa bułgarskiego.



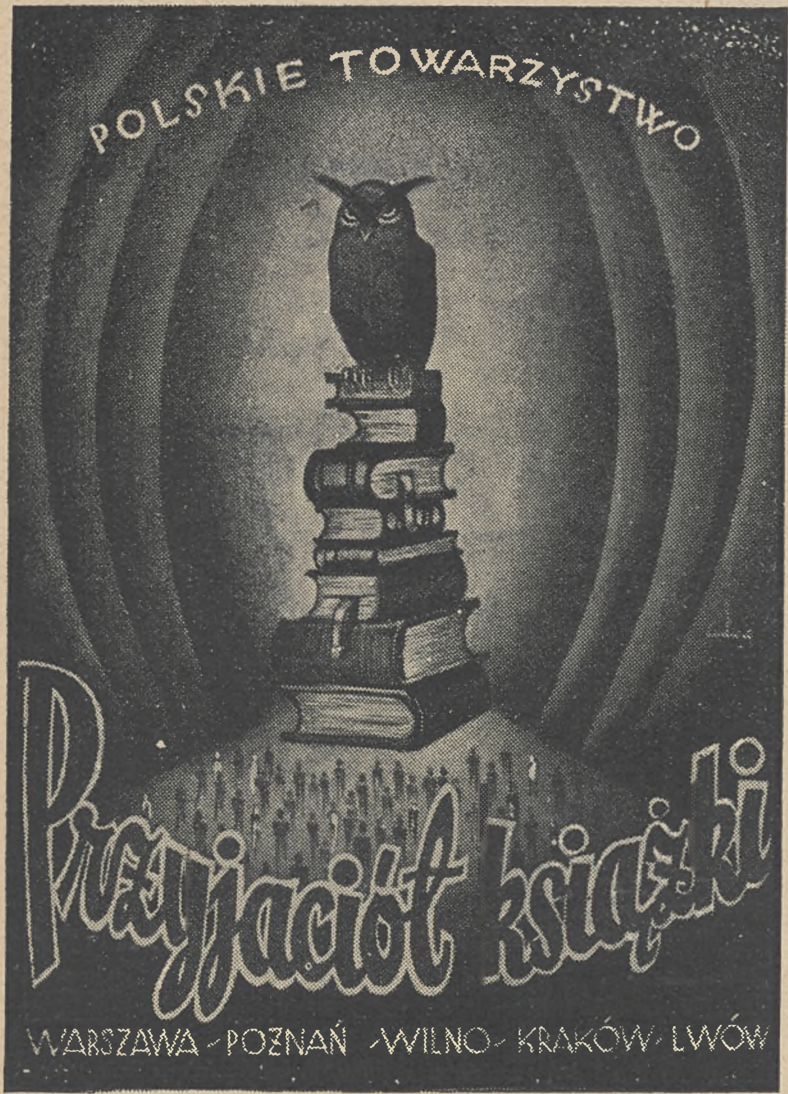
Kap. Eddie Rickenbacker, jeden z amerykańskich asów wojny światowej, który podczas wojny zestrzelił 26 niemieckich samolotów wojennych, został dekorowany osobiście przez prezydenta Hoovera Kongresowym Medalem Honorowym. Jest to jedyna w swoim rodzaju nagroda, wydana po upływie 12 lat od ukończenia wojny. Na zdjęciu od lewej: kpt. Rickenbacker i prezydent Hoover.



Oblężenie pałacu elizejskiego, przez fotografów i dziennikarzy, jest ciekawym obrazkiem rodzajowym. Oto Painlevé zmuszony odpowiadać na huraganowy ogień pytań dziennikarzy.

NAJPIĘKNIEJSZYM UPOMINKIEM NA GWIAZDKĘ JEST LEGITYMACJA NA CZŁONKA P. T. P. K

ZA 6 ZŁ



ARCYDZIEŁO NAJNOWSZEJ LITERATURY ŚWIATOWEJ

W OBJĘTOŚCI 300-600 STRON ZA 7 ZŁ

Czem jest Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki i jakie są jego cele?

Jesteśmy przekonani, że zanim poniżej szczegółowo przedstawimy nasz program i oddamy go pod dyskusję publiczności, spotkamy wiele sceptyków z uroi ioną już z góry opinją, jeżeli nie ot.vartych wrogów.

Ale ci, o których myślimy, te szerokie rzesze czytelników, które czują głód

d o b r e j i t a n i e j k s i ą ż k i,

te przyjdą do nas!

Czytająca publiczność przyjdzie — a doba obecna to nasz wie ki sprzymierzeniec!

Powoli ocknęliśmy się już z przygniatającego snu lat powojennych i jakkolwiek zubożeliśmy i jesteśmy wyczerpani, to jednak wszędzie wyczuwa się gotowość do działania.

I kiedy niejednokrotnie bibljofile przyoblekają bezwartościowe dzieła w zbytkowne szaty,

b r a k j e s t d o b r e j i t a n i e j k s i ą ż k i!

A więc z jednej strony przesadny zbytek — z drugiej brak pokarmu duchowego!

Z tego położenia prowadzi jedyna droga do stworzenia pełnowartościowej książki, zawierającej w sobie wszelkie zalety mistrzostwa twórczości literackiej oraz szaty zewnętrznej w łączności z największą ekonomją, to jest

s t w o r z e n i e p i ę k n e j a j e d n a k t a n i e j k s i ą ż k i!

W ten sposób pragniemy naszym członkom rocznie dostarczyć 25 dzieł w płóciennej oprawie, ażeby uprzystępnić każdemu założenie bibljoteki domowej, przy zasadzie swobodnego wyboru dzieł przez członków.

Spodziewamy się osiągnąć taki stan, że gdziekolwiek rozbrzmiewa mowa ojczysta, tam będzie się znajdować polska bibljoteka domowa, tam będą się znajdować książki P. T. P. K. Oto trjumf zwycięski ducha!

P. T. P. K. stoi ponad stanową lub klasową przynależnością i dla swego programu produkcji wydawniczej zakreśliło ramy

j e d n o l i t e j p o l s k i e j i d e i k u l t u r a l n e j

i będzie popierało oraz ożywi wszelkie przejawy życia duchowego współczesnej doby

Spodziewamy się, że ze względu na szczególnie zachęcające warunki

k a ż d y p r z y j a c i e l k s i ą ż e k

zgłosi swoje przystąpienie i zostanie naszym wiernym członkiem!

Oto co Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki zapewnia swoim członkom:

1. KSIĄŻKA

Corocznie otrzymuje każdy członek 25 dzieł wedle swobodnego wyboru z pośród około 500 dzieł wedle specjalnego katalogu.
Książki są drukowane na bezdrzewnym papierze, w artystycznej oprawie płóciennej z prawdziwem złoceniem, w kolorowej okładce, z wzmocnionemi rogami, zaopatrzone w zakładkę, oprawa szyta, piękny układ i wyraźny druk.
Objętość książek wynosi od 200 do 500 stron w formacie powieściowym, o ile inaczej nie zapowiedziano dla pojedynczych dzieł.
Wysyłkę uskutecznia się bezpłatnie pod adresem każdego członka.

2. CZASOPISMO

Każdy członek otrzymuje bezpłatnie do domu pismo p. t.

„G O D Z I N A W Y T C H N I E N I A"

w twardej oprawie, bogato ilustrowane. Na treść pisma składają się pierwszorzędne powieści i dzieła beletrystyczne znakomitych autorów, nowoczesne nowele i szkice, biografje znakomitych literatów i myślicieli, jakoteż artykuły treści ogólnej z zakresu nauki i wiedzy, dodatek rozrywkowy dla szachistów, zagadki krzyżowe i pytania dla ćwiczenia inteligencji; mnóstwo ilustracyj odzwierciedlać będzie nowoczesne życie. W ten sposób każdy polski dom będzie zaopatrzony dostatecznie w materjał do czytania!

3. NABYWANIE INNYCH WYDAWNICTW PO CENACH NISKICH

Każdy członek ma prawo oprócz dzieła w każdym kwartale, które otrzymuje na podstawie swego członkostwa, zakupić w nieograniczonej ilości „Książki dodatkowe" po cenach:

A) pojedyncze dzieło Zł. 6·—
B) dzieła zaopatrzone w gwiazdkę (w katalogu) Zł. 4·75
C) dzieła popularnych wydawnictw Zł. 2·75
D) dzieła z subskrypcyj po cenach specjalnych

4. KLASYCY POLSKIEJ POEZJI

Każdemu członkowi dostarczamy najpiękniejsze utwory rodzimej poezji po cenach wyjątkowych.

5. ZAKUP KSIĄŻEK i PORADY w sprawach książek

Na żądanie udziela się członkom wyjaśnień z każdej dziedziny wydawniczej i dostarcza się na żądanie książki, które nie ukazały się w naszem wydawnictwie.

Świadczenia członka — Wiele płaci członek P. T. P. K.?

A więc około 8 groszy dziennie!	**Grupa A.** Otrzymuje kwartalnie .... 1 dzieło w pł. oprawie i płaci tylko .... Zł. 6·—
	Grupa B. Otrzymuje kwartalnie .... 2 dzieła w pł. oprawie i płaci tylko .... Zł. 12·—
	Grupa C. Otrzymuje kwartalnie .... 3 dzieła w pł. oprawie i płaci tylko .... Zł. 18·—

Wszystkie powyższe opłaty zawierają już w sobie koszt opakowania i przesyłki.

Poza uiszczeniem opłaty członek niema żadnych innych zobowiązań.

Tylko uwzględnić należy:

1. Przez uiszczenie opłaty na początku każdego kwartału kalendarzowego n i e t y l k o nabywa sie prawa członka P. T. P. K. a l e t a k ż e prawa do ogółu produkcji Towarzystwa.
2. Członkowstwo przedłuża się samoczynnie o ile nie zostanie wypowiedziane listem poleconym najdalej 4 tygodnie przed upływem kwartału.

Swobodny

wybór dzieł wśród 3000 książek wedle oddzielnego katalogu!

a) Nowoczesne powieści
b) Dzieła literatury światowej
c) Specjalne dzieła rodzimej literatury
d) Dzieła naukowe i filozoficzne
e) Historja i biografje
f) Opisy podróży i natury
g) Sztuka i muzyka
h) Nauki przyrodnicze, technika, sport
i) Pisma dla młodzieży.

P. T. P. K. produkuje rocznie 25—40 nowości.

Nasi członkowie otrzymają jako pierwsze następujące dzieła:

Johan Bojer

NOWA ŚWIĄTYNIA

Powieść — Przełożył LEO BELMONT

Gazeta Polska: ... „Książki Bojera są ożywcze, podnoszące, głęboko religijne, uczące żyć i walczyć, cierpieć i kochać — a nigdy nie upadać a zawsze zwyciężać ..."

Sewer

N A F T A

Powieść

E N C Y K L O P E D J A M U Z Y C Z N A

Pod redakcją Guido Adlera w 2 tomach po 500 stron

Ż Y C I E Z W I E R Z Ę C E B R E H M A

jedyna ilustrowana encyklopedja zwierzęca w 4 tomach po 800 stron

Franciszek Werfel

GRZECHY MŁODOŚCI

Powieść — Przełożył WITOLD BEŁZA

... „Możemy śmiało rzec, że Fanciszek W e r f e l jest wieszczem współczesnego pokolenia." ... **Nouvelles Litteraires.**

... „Dzieła Werfla są o nieprzemijającej wartości" ... **Tomasz Mann**

... „Werfel jest najpiękniejszem spełnieniem literatury światowej" ...

Gunnar Gunnarsson

SIEDEM DNI CIEMNOŚCI

Powieść — Przełożył MARCELI TARNOWSKI

... „Powieści Gunnarssona, jednego z najpotężniejszych pisarzy północy są pełne tężyzny moralnej, dają oryginalne rysy ludzi z kulturą pierwotną i szczerym tchem natury" ... Józef Jankowski **Dzień Polski**

NAJPIĘKNIEJSZYM UPOMINKIEM NA **GWIAZDKĘ** JEST LEGITYMACJA NA CZŁONKA P.T.P.K.

ZA 6 ZŁ

CZŁONKÓW P. T. P. K.

(POZNAŃ PLAC WOLNOŚCI 7)

P r z y j m u j ą:

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ jako Skład główny na Warszawę (Warszawa, Plac 3 Krzyży 8).

„RENAISSANCE" Stanisławów jako Skład główny na Małopolskę, jakoteż wszystkie księgarnie.

Wypełnia nowy członek:

Deklaracja przystąpienia

w charakterze członka

Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki

Niniejszem zgłaszam przystąpienie w charakterze członka P.T.P.K. z obowiązkiem uiszczania z góry opłat członkoskich.

Uwaga: Zgłoszenie może nastąpić w każdej chwili. Wszelkie wydawnictwa w danym kwartale otrzymuje nowy członek dodatkowo. Zgłoszenie obowiązuje na jeden rok. Niewypowiedziane na czas członkostwo przedłuża się automatycznie na dalszy rok

Proszę o zarejestrowanie do (prosimy o wyraźne pismo):

Grupy A	Otrzymuje kwartalnie .... 1 dzieło w pł. oprawie i płaci tylko	Zł. 6·—
Grupy B	Otrzymuje kwartalnie .... 2 dzieła w pł. oprawie i płaci tylko	Zł. 12·—
Grupy C	Otrzymuje kwartalnie .... 3 dzieła w pł. oprawie i płaci tylko	Zł. 18·—

i nadesłanie książki No. ______________

Z mojego członkostwa nie wynikają dla mnie żadne inne zobowiązania.

Uwaga: Dla zagranicy obowiązują inne postanowienia.

Pozatem proszę mi wysłać obok książek kwartalnych:

a) Jako książki dodatkowe No. ______________

b) Z katalogu No. ______________

____

Kwotę ______________ uiściłem przekazem P. K. O. No. Warszawa 5535 ______
proszę pobrać, wpłaciłem gotówkę. (Niewłaściwe przekreślić.)

Imię i nazwisko: ______________

Zawód: ______________

Dokładny adres: ______________

Nazwisko członka, który zwerbował: ______________ No. karty czł.: ______________

Wypełnia werbujący:
Za zwerbowanie powyższego członka proszę tytułem premji bezpłatnie mi nadesłać: ______________

____

Imię i nazwisko: ______________

Dokładny adres: ______________ No. karty czł. ______________

Wysyłka nastąpi dopiero po uiszczeniu opłaty członkoskiej przez zwerbowanego członka.

Prosimy o zgłaszanie się

1 0 0 - procentowych

A K W I Z Y T O R Ó W

ze sfer urzędniczych, przemysłowych i handlowych, którzy stykają się z szerokiemi warstwami społeczeństwa.

NIEOGRANICZONE MOŻLIWOŚCI
POWAŻNEGO DOCHODU !

Każde zgłoszenie traktujemy i załatwiamy indywidualnie.

Deklarację należy wyciąć i po zaopatrzeniu w podpis wysłać pod adresem:

Polskie Towarzystwo
Przyjaciół Książki

Poznań
Plac Wolności 7

POPIERAJCIE P. T. P. K.

„Łagodne tygrysy"

Znany podróżnik niemiecki prof. dr. Seitz, wybitny entymolog, który od lat 50 odbywa rok rocznie wyprawy, do najromaitszych egzotycznych krain, twierdzi, że tygrysy są całkiem spokojnemi i nieszkodliwemi zwierzątkami.. Zdaniem jego, wszystkie okropności z dzikiemi zwierzakami, spotykane tak często w literaturze podróżniczej są przeważnie czemś, w rodzaju teatralnego efektu, służącego do wytworzenia odpowiedniej aureoli „bohaterstwa". Innemi słowy... jest to zazwyczaj blaga.

Prof Seitz wędrując po górach Nilghiri (Góry Błękitnej) w Indjach. miał ze sobą jako jedyną broń siatkę do motyli. Tak uzbrajał się zawsze od czasu, kiedy będąc w osadzie Coonor, znajdującej się wśród osławionych „pagórków tygrysich" (tiger - hills — sama nazwa już chyba mówi za siebie) spostrzegł, że w ostatnim, na skraju puszczy położonym, bungalow mieszkają zupełnie samotnie dwie starsze Angielki. Dowiedział się wówczas, że to bynajmniej nie heroizm, ponieważ wiadomo powszechnie, że tygrysica nie jest przerażającym potworem i to nie tylko dla starszych Angielek, których mięso może być niebardzo smakowite.

Tygrys ustępuje starannie z drogi człowiekowi, *idącemu prosto i spokojnie*, napada natomiast na ludzi pochylonych, siedzących lub kręcących się nerwowo. Zaobserwowano to dokładnie podczas polowań, na tę pręgowatą bestję. Nie można jednak zaprzeczyć, że tygrysy pożerają sporo ludzi. Tłomaczy się to przedewszystkiem przynależnością tych drapieżców do rodu kotów, które zdobycz swą długo śledzą, a następnie czatują wytrwale aby rzucić się na nią w odpowiedniej chwili. Jeśli więc tygrys spotka człowieka wyczerpanego, w bezradnej sytuacji, wówczas rzuci się nań bezwzględnie. Dlatego więc narażeni są przeważnie kulisi, dyszący z wyczerpania i zgięci pod ciężarem ogromnych tobołów z tytoniem, lub owocami. To samo dzieje się z chińskimi robotnikami. Wiedzą oni doskonale, jak niebezpiecznym jest nocleg w polu, mimo to jednak, chcac sobie zaoszczędzić trochę czasu i pieniędzy nie idą do bardziej odległych wiosek, a kładą się do snu w miejscu pracy, na gołej ziemi. Czatujacy na jakąbądź zdobycz tygrys, krąży dokoła i chwyta *leżącego, pogrążonego we śnie.*



— *Ależ kochanie, przecież przepisałeś dokładnie cały katalog!!?...*
— *Cóż chcesz... Mam do tego prawo... Jest to przecież moja pierwsza gwiazdka małżeńska.* *(Bystander)*

Jeśli zaś chodzi o angielską statystykę śmiertelności w Indjach, to każdy, kto mieszkał tam dłużej, wie dobrze o tem, że morderstwa, szczególnie na tle erotycznem, zdarzają się tam bynajmniej nie rzadziej, niż w Europie, przyczem tubylcy wola posługiwać się trucizną, niż kulą, lub sztyletem Hindusi są poprostu mistrzami w przyrządzaniu „napoi miłosnych". Postępowanie karne, prowadzone przez Anglików, stosuje oczywiście wyczerpujące i nieskończenie długie śledztwo. Mieszkańcy odległych okolic muszą odbywać niejednokrotnie ogromne podróże, aby świadczyć przed sadem, z czego rzecz prosta, nic miłego dla nich nie wynika prócz trudu, strachu i straty czasu. Często również morderca jest według prawa hinduskiego, obyczajowego w zupełnym porządku, czego oczywiście prawo angielskie uznać nie może. W takich wypadkach okoliczni mieszkańcy świadczą, że pracujac w pobliżu miejsca, gdzie ofiara znikła słyszeli krzyki, szamotanie się i widzieli ślady krwi. W ten sposób czyni się z tygrysa ohydnego mordercę, a władze wpisują do swej listy trzy litery: e. b. t. (eaten by tigers — pożarty przez tygrysy).

Dres.

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ





9 listopada r. b. w kościele kollegjalnym w Pułtusku pobłogosławiony został związek małżeński p. Marji Masłowskiej z p. Henrykiem Tałłan-Tałłandziewiczem, redaktorem „Przeglądu Kobiecego". Szczęść Boże młodej parze.

WELL.

Na śnieżnem tle

Trudno o piękniejsze tło dla wysportowanych sylwetek kobiecych, niż śnieg. Śnieg, skrzący się jak djamenowy pył, w złocistych promieniach górskiego słońca. Perspektywa cieniuje postrzępione górskie szczyty srebrzyście, mlecznie i perłowo. Cały krajobraz obejmuje i szczelnie zamyka, rozległa kopuła turkusowego nieba.

Na tak wspaniałej scenie, będziecie miały zaszczyt wystąpić, urocze zawodniczki startujące do współzawodnictw narciarskich w Zakopanem. Widzów będziecie miały wielu i to niebylejakich. Śmietanka naszej stolicy... o nią mniejsza, jesteśmy pod tym względem zblazowane. Ale słyszałam z pewnych ust, że mają być bardzo liczni goście z zagranicy.

Naturalnie, rzeczą najważniejszą w podobnych imprezach, jest świetna forma sportowa. Ale nie od rzeczy będzie pomyśleć i stronie najzewnętrzniejszej, najbardziej kobiecej — toaletowej. Bo nawet najsurowszy, najbezstronniejszy sędzia, zupełnie inaczej się uśmiecha do zawodniczki przystojnej i doskonale „podanej", niż do rubasznej chłopczycy-czupiradła.

Niewątpliwie, najpraktyczniejszym a niepozbawionym walorów estetycznych, materjałem na kostjumy narciarskie, jest granatowe sukno norweskie. Granatowy kolor ma swoją piękną ustaloną tradycję w zakresie sportów zimowych.

Irena Dana, wschodząca na paryskim horyzoncie gwiazda nowoczesnego wykwintu, kreuje szereg pięknych modeli sportowych z tradycyjnego, granatowego sukna. Krótkie, obcisłe kurteczki przepasuje paskiem skórzanym. Długie spodnie wsuwane są pod wywinięte mankiety wełnianych skarpetek. Na szyi nosi się szalik z puszystej, śnieżnobiałej „laine angora". Beret, rękawiczki i skarpetki są również z białej „angory". Taka jest całość klasyczna.

Ale też dopuszczalne są liczne i wdzięczne warjanty. Jeanne Regny, inna wyrocznia mody, lansuje naprzykład model kostjumu narciarskiego z impregnowanej (nieprzemakalnej) wełny, koloru dojrzałego kasztana. Urozmaica go kamizelka, z gęstego trykotu, w pasy czarne, brunatne i białe. Przód i pakowne kieszenie są zapięte sposobem „éclair".

Irène Dana też czasem zrywa z granatowobiałą tradycją, wypuszczając w świat śnieżny, modele, jak efektowne i oryginalnej, jak załączony na ilustracji kostjum, z tkaniny impregnowanej, mocno, jaskrawo ponsowej. Na to się nosi pull'over, szal, beret i rękawiczki, oczywiście z „laine angora blanche".

Na ślizgawkę, wymyśliła amerykanka Any Linker, kostjum pozornie trochę ekscentryczny, bardzo rozsądnie praktyczny w istocie. Składa się on z wzorzystego, czarno-pomarańczowo-żółtego pull'overu, brunatnych jupe-culotte'ów i takiegoż bolera. Wszelkie nieprzyjemne odsłonięcia nieprzewidzianych horyzontów, w razie poślizgnięcia się i upadku — wykluczone.



Ostatni krzyk mody na sezon narciarski.

PIERRE MAC ORLAN. 13

Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal motyli", zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter — antykwarjusz, Marja - Chantal Fosseuse — śpiewaczka, Lucjan Flahaut — dziennikarz, Ludwik Fraipont — chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry. Śledztwo toczy się powoli, przyczem sprawa wikła się coraz bardziej tajemniczo.

— Czy nikt o mnie nie pytał przed dziesięcioma minutami?

— Nie, proszę pani.

— Jeśli ktoś przyjdzie, bo czekam na kogoś, to proszę do mnie zatelefonować. Będę w pokoju do godziny 5-ej.

Marja-Chantal zabrała się do pakowania walizek. Zadzwoniła na pokojową i kazała sobie przynieść bieliznę, którą oddała do prania. Prędko skończyła tę pracę. Co parę minut przerywała zajęcie, nasłuchując, czy winda nie jedzie.

— Musiałam się pomylić — myślała. — To nie był Eligjusz Mutter, ale ktoś, dziwnie do niego podobny.

Tymczasem obraz nieznajomego, który się zmieszał z postacią Muttera, zakrył inny, zrodzony z rannej rozmowy telefonicznej z mężem.

Marja-Chantal była zmęczona. kilka razy potarła rękę czoło. Potem położyła się na łóżku, starając się zasnąć. Zobaczyła twarz Muttera poprzez szyby taksówki. Usłyszała głos w telefonie. Nie miała już chęci wyjeżdżać z Barcelony i wracać do Paryża.

Zasnęła w chwili, gdy ktoś zastukał do drzwi. Zerwała się w jednej chwili.

—Kto tam? — spytała zmienionym głosem.

— To ja, otwórz.

Otworzyła drzwi. Saint-Thierry chciał ją pocałować. Podała mu usta i cofnęła się po chwili.

— Dlaczego już wyjeżdżamy? — spytała.

— Ach, to cała historja, którą ci zaraz wytłómaczę.

— Wiesz, — zaczęła Marja-Chantal, nie patrząc na męża — zdaje mi się, że widziałam w taksówce Muttera.

— Muttera? To niemożliwe!

— Widocznie się pomyliłam. Samochód przejechał tak prędko.

Marja-Chantal musiała się przezwyciężyć, żeby nie patrzeć na męża.

X.

Wrócili do Paryża w ponurym nastroju. Saint-Thierry wydawał się bardzo przygnębiony swoim bezużytecznym pobytem w Barcelonie.

— Moje stanowisko jest bardzo poważne — mówił do żony. — I dlatego jest tylu zazdrosnych, którzy mi szkodzą. Nie martw się o to. W Barcelonie, przy pomocy policji, miałem wyśledzić bandę przemytników. Sprawa kontrabandy broni z Marokka. Kiedy przybyłem na miejsce naszego tajnego spotkania, zastałem kolegę z Paryża, który mi przywiózł list, z rozkazem powrotu. Po przeczytaniu tego listu zatelefonowałem do ciebie, żebyś zapakowała walizki.

— Czy podejrzewasz kogoś?

— Nie... ale w naszym zawodzie trzeba się mieć zawsze na baczności. Niewiadomo nigdy, gdzie się zaczyna panowanie policji, a tem mniej, gdzie się kończy. Gdyby mi ktoś powiedział, że Flahaut jest naszym współpracownikiem, nie byłbym wcale zdziwiony.

— A Mutter? — spytała Marja-Chantal z pewnem wahaniem.

— Eligjusz Mutter... Nie wiem... Ale możliwe. Nie przypuszczam jednak, aby któregokolwiek z nich można było posądzać o to, że są sprawcami mego niepowodzenia. Bo to jest dla mnie niepowodzenie. Ta sprawa kontrabandy, przy pewnej zręczności z mojej strony, mogłaby mi przynieść pieniądze, nawet sporą sumę. Warto zawsze śledzić ludzi nieuczciwych, zaopatrzonych obficie w pieniądze. Cała rzecz polega na tem, żeby położyć rękę na pieniądzach w odpowiednim momencie. Miałem doprowadzić sprawę do pewnego określonego punktu, poczem wolno mi było traktować dalszy ciąg, z punktu widzenia moich interesów. Stratę, która mnie teraz spotkała, obliczam na sześćdziesiąt tysięcy franków.

Wróciwszy do swego mieszkanka na ulicy Batignolles, Marja Chantal poczuła, że opuścił ją strach, który ją prześladował od wyjazdu z Barcelony. Atmosfera domowa wytwarzała uczucie bezpieczeństwa.

Pewnego poranka, przed przyjściem Muttera, znalazła w gazecie krótki artykulik, poświęcony zbrodni w „Balu Motyli". Rozłożyła gazetę na stole w jadalni i, skulona we dwoje, z płonącą twarzą, zagłębiła się w przeszłość, która nie dawała jej spokoju. Sprawa Noel-le-Caid'a odradzała się z popiołów. Policja tym razem wpadła na właściwy ślad. Wchodziła w grę międzynarodowa banda, której siedliskiem był Berlin. Wszystko pozwalało przypuszczać, że tajemnicza młoda brunetka z Avenue de

Versailles była Niemką. Ona była wskaźnikiem. Zbrodnia została popełniona przez mężczyznę. W pokoju zabitego, przy łóżku, znaleziono wieczne pióro zagranicznej marki, które nie należało do Caid'a. Widocznie, wyślizgnęło się z kieszeni mordercy. Był to jedyny przedmiot, stanowiący widoczny podkład dla różnych przypuszczeń. Policja, poważnie zajęła się tą sprawą. Zbrodnia została popełniona w momencie, kiedy opinja publiczna, obojętna do tej chwili, zaczynała protestować przeciwko często powtarzającym się zamachom kryminalnym i bezkarności, którą się cieszyły. Trzeba było się zgodzić na to, że fachowcy w tej dziedzinie byli doskonale zorganizowani. Większość ich pracowała, jeśli tak można powiedzieć, uczciwie, mądrze, z równowagą. Możliwe, że ci ludzie byli dobrymi mężami i ojcami rodzin.

Mordowali bez namiętności. Spełniali swój krwawy obowiązek, jak uczciwy urzędnik spełnia swoje zadanie. Nie w lokalach Montmartre'u lub Montparnasse'u należało ich szukać. Tam bywały drobne rybki przestępczego świata, gdyż wielcy potentaci tej sfery rozkwitali w tajemniczych, luksusowych apartamentach. Policja nieumiejętnie zbierała informacje. Denuncjacje były rzadkie i dlatego wszelkie ślady zacierały się tak łatwo.

Marja-Chantal przeczytała artykuł kilka razy. Potem złożyła gazetę i odsunęła od siebie.

W sąsiednim pokoju Saint-Thierry nucił i pogwizdywał przy goleniu.

Marja-Chantal otworzyła drzwi.

— Uważaj! — zawołał mąż. — O mały włos byłbym się skaleczył.

— Wiesz, przypuszczają, że zabójca Noelle-Caid'a należał do bandy międzynarodowych złoczyńców.

— Tak? — rzekł Saint-Thierry, nie przerywając golenia. — Gdzieś to wyczytyła?

— W gazecie.

— Piszą, byle pisać — mówił Saint-Thierry. — Pokaż mi gazetę. Rozumiesz chyba dobrze, kochanie, że gdyby ta sprawa wydawała mi się ciekawa od początku, byłbym się nią bliżej zajął. Rezultaty pierwszych badań nie były bardzo pocieszające. Wiesz sama, boś była ze mną, raczej z nami. Czy wiesz o tem, że policja przypuszczała, że to ty jesteś tajemniczą kobietą z Avenue de Versailles.

— Nie! — zawołała Marja-Chantal z oburzeniem.

— Ale to nie długo trwało. Możesz mi wierzyć. Poto tam byłem, żeby skierować sprawę na właściwe tory i ciebie obronić. Nie należy ślepo ufać policji. Większość moich kolegów, którzy...

Właśnie w tej chwili zadzwonił Eligjusz Mutter. Saint-Thierry otworzył mu drzwi.

*

Marja-Chantal starała się czytać. Wzięła książkę, porzuconą na stole. Nie mogła jednak zebrać myśli i przejąć się przygodami bohaterki Cherbuliez'a. Po chwili rzuciła książkę i zabrała się do swetra, który robiła szydełkiem dla męża. Z kuchni dobiegał głos Izabelli. Stara Bretonka rozmawiała ze swoim kotem.

— Jesz, mój drogi, pijesz, nie masz żadnych zmartwień... Jesteś gruby, jak beczka... Już mrużysz oko, boś zobaczył słoninę...

Potem uderzenie ścierką o jakiś mebel i głos tym razem wściekły:

— Czekaj, złodzieju, czekaj!

— Ciszej trochę, Izabello! — zawołała Marja-Chantal, odłożyła robotę i poszła do kuchni.

— Znów coś ściągnął?

— Tak, proszę pani, ale dostał za to porządnie ścierką.

— Co za złodziej! — powiedziała Marja-Chantal, głaszcząc kota, który najspokojniej usiadł sobie na krześle.

— Czy pan przyjdzie na kolację? — spytała służąca.

— Nie sądzę... Czekam na telefon od niego. Możliwe, że pójdziemy na kolację z panem Mutterem i panem Flahaut... Nie wiem jeszcze...

— Pytam się, bo chodzi o sprawunki.

Marja-Chantal wyszła do pokoju, wyjęła pończochy, które położyła na łóżku, i zaczęła się ubierać. Skończywszy toaletę, usiadła w gabinecie i czekała na telefon.

Dwadzieścia razy gotowa była zdjąć słuchawkę. Nagle zadzwonił telefon. Czuła mocne bicie serca.

(D. c. n.)

Korzyść spożywania cukru

W żadnem z miast europejskich nie widzimy tylu sklepów z cukierkami, zakładów cukierniczych i ciastkarni, jak w Warszawie. Nietylko wielka liczba tych przedsiębiorstw zwraca na siebie uwagę, ale i rozmaitość sprzedawanych w nich wyrobów; ich smak wytworny, wykwintny wygląd oraz estetyczne opakowanie, wyróżniają korzystnie nasze wyroby cukiernicze od wszystkich innych. Uznanie dla naszych ciastek, czekoladek i cukierków wyrażamy zarówno my sami, jak i cudzoziemcy, odwiedzający stolicę Rzeczypospolitej.

Wysoki rozwój tej gałęzi przemysłu zdawałby się świadczyć o tem, że wywołany został większem, niż gdzieindziej zapotrzebowaniem. Myliłby się jednak ten, który wyprowadził stąd wniosek, że ludność naszego kraju spożywa cukier w wielkiej ilości.

Rzecz ma się zupełnie inaczej.

Statystyka wykazuje, że spożycie cukru w Anglji wynosi na głowę ludności cztery razy więcej, niż u nas. Pochodzi to stąd, że nasza ludność wiejska, która stanowi 90 procent ogółu mieszkańców Polski, prawie wcale cukru nie używa.

Wieśniacy piją herbatę chyba w razie choroby, jako lekarstwo; słodkie placki, czy pierogi pieką dwa razy do roku na uroczyste święta, a potem zdają się o istnieniu cukru wogóle nie pamiętać. Cukier uważany jest przez naszego wieśniaka, jako rzecz zbytku, gdyż nie zdaje on sobie sprawy z jego wartości odżywczej, niezbędnej dla organizmu człowieka.

Wieśniak polski żywi się naogół nędznie i dlatego mało jest odporny na wszelkiego rodzaju choroby. Kto zna bliżej stosunki na wsi, ten wie, że nasz chłop leczy się mało, bo nie wierzy doktorom i nie ma zaufania do lekarzy, ale to wcale nie świadczy o odporności organizmu chłopa. Pomimo lepszych, niż np. w Anglji warunków klimatycznych, częstsze są u nas wypadki gruźlicy, a śmiertelność na wsi jest wielka. Obok innych czynników, jak np. brak zrozumienia, jak ważnem jest dla zdrowia przestrzeganie czystości, przewietrzanie mieszkania, izolowanie chorego przy chorobach zakaźnych i antyseptyka, do tych opłakanych stosunków zdrowotnych wsi naszej w wielkiej części przyczynia się mała wartość, spożywanych przez ludność wiejską, pokarmów.

Pokarm treściwy i łatwostrawny największą przynosi korzyść organizmowi, bo najwięcej wytwarza w nim ciepła i siły. Do takich właśnie pokarmów należy cukier, rozpuszczalny bowiem w płynach, odrazu już w żołądku zostaje wchonięty przez tkanki. Ta łatwość wchłaniania cukru przez organizm ludzki sprawia, że z ego wartości odżywczych nic się nie traci, że mniej go potrzeba, niż innych pokarmów, aby odnowić zużytą przez pracę energję, a tem samem, choć pozornie droższy od chleba, ziemniaków, czy mięsa, cukier jest w gruncie rzeczy najtańszym środkiem odżywczym. Oszczędności poczynione na cukrze nie są wcale oszczędnością — organizm wymaga pewnej ilości pożywienia, aby mógł istnieć i rozwijać się prawidłowo, zamiast cukru zatem musimy dostarczyć mu innych produktów, które w sumie będą kosztować drożej.

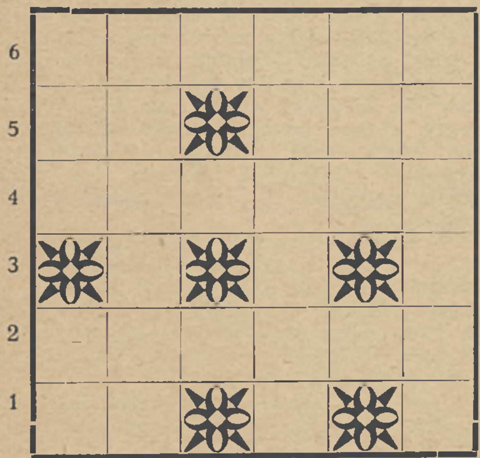
Tam, gdzie ludność jest uświadomiona i odżywia się racjonalniej, spożycie cukru wzrasta stopniowo. W naszym kraju — województwa warszawskie i śląskie zużywają rocznie przeciętnie 20 kg. cukru na głowę, gdy mieszkańcom województw wschodnich wystarcza 5 do 8 kg. Zagranicą spożywają najwięcej cukru Duńczycy (47 kg. rocznie na głowę) i Anglicy (40 kg.), podczas gdy u nas konsumcja cukru wynosi zaledwie 12 kg. rocznie na głowę.

Tę niechęć naszego ludu wiejskiego do spożywania cukru należałoby zwalczać jaknajusilniej ze względów zdrowotnych oraz ze względu na rozwój fizyczny przyszłych pokoleń.

WSZELKIE DARY W NATURZE, ORAZ PIENIĄDZE NA „GWIAZDKĘ" DLA DZIECI ULICY PRZYJMUJE TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ DZIECI ULICY — HIPOTECZNA 5ł M. 1 (I-PIĘTRO). TEL. 671-28 W GODZ. 16 — 18-TA, LUB NA KONTO P. K. O. NR. 21521.

Rozrywki umysłowe

KRZYŻÓWKA.



a b c d e f

ZNACZENIE SŁÓW.

Wyrazy pionowe:

a6 Inaczej ofiaruję;
b6 Narzędzie do ostrzenia;
d6 Obcy, nieproszony przybysz;
e6 Nowo — (jęz. staroż.);
f6 Siłacz;
a2 Jezioro w Rosji.

Wyrazy poziome:

a6 Grunt nizko położony;
a5 Ważna figura;
d5 Zaimek wskaz. (wspak);
a4 Środek dezynfekcyjny;
a2 Napoje (wspak);
a1 Nazwa litery.

LOGOGRYF.

a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, b, b, b, c, e, g, h, k, k, k, l, ł, ń, o, o, o, o, o, ó, p, p, p, p, r, r, r, r, s, s, s, s, t, t, t, w, w, w, y, y, z.



W puste kratki wstawić litery tak, aby utworzyć 10 wyrazów. Środkowy rząd utworzy nazwisko głośnego pisarza.

Znaczenie słów:

1. Herb Litwy;
2. Okrzyk pochwalny;
3. Członek jednego z narodów europejskich;
4. Autor staropolskich pamiętników;
5. Zwierzę;
6. Rodzaj formy literackiej;
7. Rzeka w Polsce;
8. Figura mityczna;
9. Wieprzowina;
10. Malarz polski.

Nagrody

Za rozwiązanie zadań z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania

2 nagrody

po 25 Zł.

oraz 4 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 3 stycznia 1931 r.

Piętnaście lat temu...

I.

KAROL KOŹMIŃSKI.

ZA ZDROWIE KSIĘŻYCA.
(Wigilja na froncie.)

Było to przed laty piętnastu!...

Ledwieśmy roztasowali się na krótki odpoczynek w Werchach, pięknej wsi wołyńskiej, gdy już trzeba się było na gwałt zabierać, do przygotowań świątecznych do wilji.

Oczywiście, o tem, żeby świętować gdzieś razem, jak to bywa dziś w pułku, przy wspólnym obiedzie żołnierskim, nie mogło być wówczas mowy. Nie można też było urządzać żadnych uczt „szwadronowych", bo w żadnej przecie chacie nie starczyłoby miejsca na stu zgórą chłopa, ale można było dobrze i wygodnie rzecz całą sprawić plutonami i tak się też stało.

Wybrano tedy w rejonie każdego plutonu największą, najlepiej prezentującą się chatę. Przewietrzono ją (na wszelki wypadek) starannie, wymyto i wyszorowano dokumentnie, podłogę wysypano żółtym piaskiem... I już też po ścianach zielono wszędzie, od naniesionych z lasu gałęzi świerkowych; na stołach ustawionych, jak Bóg dał, bielą się czyste, grube, ze zgrzebnego płótna, gospodarskie obrusy, pod obrusami pachnie siano, a na obrusach, na tem wonnem posłaniu nasza zastawa. No! Nie była to sevrska, czy saska porcelana — to pewna, ale były przecie z pewnością jakieś miski gliniane (dla starszyzny), nieodstępne nasze menażki (dla nas), noże i widelce — gdzie niegdzie (łyżkę miał prawie każdy za cholewą!) A uczta sama? Więc najprzód opłatki, potem śledzie, bochny chleba i kartofle „w mundurach" i kapusta z grzybami, i mak, i jakaś niezupełnie postna konserwa, a przedewszystkiem całe baterje różnobarwnej „wódy"...

Po przełamaniu się opłatkiem kolejno ze wszystkiemi, a i z gospodarstwem, asystującem nam, rzecz prosta przy uczcie, zasiedliśmy i z początku odbywało się wszystko w ciszy, w skupieniu i godnie. Ale niedługo to trwało: szybko poszła w kurs kolejka jedna i druga, głód pierwszy minął, posypały się koncepty, a z końca stołu zaryzykował ktoś nawet kolendę. Nie dziwmy się: nie śpiewać w takiej chwili nie można było przecie, a jeśli nie szło to zbyt składnie, to z pewnością — głośno. Ryczeliśmy przecie, ile tylko gardła starczyło! A tu „podczaszowie" leją w szklanki (niejedna z takich „szklanek" była wprost puszką po konserwie) złote, rubinowe, czy szmaragdowe specjały, a tu podsuwają wciąż „kuchmistrze" wszystko, co tylko tam w czeluściach komina uprażone już było, gorąco robi się, jak w łaźni, zarzucone z fantazją kożuszki lecą w kąt, już pasy rozpięte, już rozpięte także wyłogi munduru, a już też i jeden z drugim całuje się, a poprzysięga dozgonne braterstwo, a toast za toastem grzmi, jak salwa wystrzałów.

Teraz mają się zacząć atrakcje. Uwaga, baczność: to specjaliści „pirotechnicy", na cześć najurodziwszych naszych gospodyń spalić mają ognie sztuczne. Więc przerwa. Wysypuje się wszystko przez otwarte drzwi, przed chatę. Już nastąpiło kompletne zbratanie, już wszystko jedną gromadą — pluton i chata stoi w ulicy i patrzy w biegnące wysoko po niebie łukiem, jak meteory, wystrzelone przed chwilą rakiety. Witane gromkim okrzykiem biegną w górę. Jedna, druga, dziesiąta, płoną białym, czerwonym i błękitnym blaskiem, drżą cicho, spadają ciężko jak łzy i mrą z lekkim, suchym trzaskiem.

Ale wtem, skądź, z nad którejś stodoły bucha różowe światło, wysoko w niebo strzela jasny płomień. Widocznie dach nie był całkiem przysypany śniegiem, a od iskier zajęła się strzecha. Nim jednak jeszcze spostrzegła się „cywilna" część naszego towarzystwa już gromada nasza rzuciła się na ratunek.

— Hej tam, rakietnicy (tu dodano jakiś epitet, który wykreślić muszę) Zaprzestać ognia! Pali się!...

I już na dach i do wiader.

W mig z tem poszło. Byle nie psuć zabawy, w sam czas...

Tam przecie ulicą, idzie teraz do nas starszyzna, dowódca pułku, komendanci szwadronów, cały nasz wysoki sztab idzie po plutonach, łamać się opłatkiem, a przepijać gęsto. Byli już w innych, a teraz idą do nas. Słychać już twardy, równy krok, brzęk ostróg.

Z pewnym trudem, jaki taki szyk „powitalny" usiłuje sprawić sam dowódca plutonu. Jest już za gorąco, mimo mroźnej nocy zimowej i — za wesoło. Już są przecie wszyscy po niejednej kolejce. Ale przecie po służbie, jest przytem święto, takie święto! A przytem i oficerowie i my, to wszystko jedna wiara, jedna roześmiana i rozwiwatowana na całą wieś — rodzina ułańska.

Już po powitaniu, już prześpiewano wszystkim po sto i po tysiąc lat, przepito do wszystkich, wzniesiono toasty wszystkich koni ułańskich... Ale, gdy starszyzna już ma odchodzić, gdy na pożegnanie tłumnie wypadamy przed chatę, w tem, z gromady naszej, ze szklanką pełną w ręku wybiega naprzód jakiś ułan. Będzie pił czyjeś jeszcze zdrowie, chce mówić.

— Cicho tam!

Ucisza się tedy wszystko.

Staliśmy kupą na białym, błękitnym, skrzypiącym pod nogami śniegu. Nad nami, na granatowem niebie błyszczał srebrny krąg księżyca. I do niego to, do tej okrągłej, białej, a jak się nam wówczas wszystkim zdawało przyjaźnie uśmiechniętej twarzy, wyciągnął swą szklanicę nasz wesoły kolega i zakrzyknął:

— Serwus, stary! Za twoje zdrowie..

Odkrzyknęliśmy chórem. I to zdrowie księżyca, zdrowie pewnie przy tej uczcie ostatnie wypiliśmy do dna!

Tak to było na wilji ułańskiej, w czasie wielkiej wojny, przed laty piętnastu.

II.

JÓZEF OPIEŃSKI.

„OSTATNIA WOJENNA WILJA W SZWAJCARJI".

W młodych, chłopięcych sercach zaświtała z dniem wybuchu wojny europejskiej nie nadzieja, ale pewność.

Poprostu pewność, że będzie Polska!

Starsi mieli wątpliwości, obawy; gubili się w domysłach, przewidywaniach, rozważaniach; wysuwali wnioski, usiłując przeniknąć tajemnicę najbliższej przyszłości; my młodzi i najmłodsi, posiadaliśmy niezbitą pewność, nieobarczoną balastem dociekań.

Wolna Szwajcarja była cudownym odpowiednikiem dla ukształtowanego w ten prosty sposób nastroju.

Nawet pełne pociągi żołnierzy niemieckich, flagi na dworcach i radość z powodu odniesionych w pierwszych miesiącach zwycięstw, nie zdołały ani na chwilę podważyć mej młodzieńczej wiary, w przejeździe przez Niemcy z sieradzkiego do Szwajcarji.

I oto znalazłem się wraz z rodzicami w Morges, w pobliżu Riond - Bosson, posiadłości I. J. Paderewskiego, skąd promieniował duch polski na całą emigrację, znajdującą się na ziemi Helwetów.

Nowy, oszałamiający świat, rozwarł się nagle przed bystro otwartemi oczyma piętnastoletniego chłopca.

Wielcy ludzie i sławne nazwiska, Paderewski, Sienkiewicz, możność słuchania, co mówią, jakieś wchłaniane, a niezawsze rozumiane strzępy rozmów. Vevey. Komitet Narodowy. Askenazy, Ossuchowski, Piltz, Kucharzewski, Juljan Adolf Święcicki, wiecznie żywy kalejdoskop intelektualny, na tle głuchych pomruków wojennych, dochodzących ze wszech stron do neutralnej Szwajcarji.

Co niedzielę zjazd do Riond - Bosson mnóstwa osób z Genewy, Lozanny, Vevey, Montreux, podejmowanych niezwykle gościnnie przez p. Wilkońską, siostrę Paderewskiego, zawiadującą po jego wyjeździe do Londynu i Ameryki olbrzymim domem.

Z uwielbieniem wpatrywałem się podczas podwieczorku w Henryka Sienkiewicza, który kładł pięć kawałków cukru do filiżanki herbaty, co w mojem pojęciu było jakiemś niesłychanem przekroczeniem, na jakie mógł sobie pozwolić jedynie On...

A Sienkiewicz tymczasem opowiadał dykteryjki, z których szczególnie jedna utkwiła mi w pamięci, gdyż wielki pisarz powtarzał ją z lubością i namaszczeniem.

„Wielorakie bywają góździe krzyża świntygo — mawiał pewien zakrystjan —: prawdziwe, pocierane o prawdziwe i pocierane o pocierane — góździe krzyża świetygo".

Wszyscy bardzo się śmieli i mówili, że doskonałe.

Zahaczając o literaturę, Sienkiewicz, który tragicznie uśmiercił tylu swoich sympatycznych i szlachetnych bohaterów — był pod koniec żywota zdecydowanym zwolennikiem „happy-end'u".

— Nie czytuję książek, które się smutno kończą — mawiał — zawsze przerzucam ostatnie kartki, ażeby zobaczyć zakończenie, gdyż nie lubię się niepotrzebnie denerwować."

Niestety, nie danem mu było przejrzeć ostatnich kartek dzieła, które najbardziej umiłował — Historji Zmartwychpowstania Rzeczypospolitej Polskiej!

W Szwajcarji, najłatwiej można było orjentować się co do posunięć na wszystkich frontach naszych wrogów i przyjaciół.

Każdy więc przerzucał zapamiętale gazety francuskie, niemieckie i szwajcarskie, każdy umiał czytać „między linjami" i każdy studjował mapy, nakrapiane podwójnymi rzędami czarnych punkcików.

W położonym, nad brzegiem Lemanu, hotelu Mont - Blanc, który był małą kolonją polską, gdyż mieszkali tam Pstrokońscy, on malarz (właściciele wyspy Plumanach u wybrzeży Bretanji, gdzie Sienkiewicz pisał swoje „Quo Vadis"), Lothowie, Kadenowie, Ratyński i inni, przelotem — można było ujrzeć niejednokrotnie stojącego w otwartem oknie siwego, wąsatego pana, z numerem „La Suisse" w ręku, wykrzykującego grzmiącym głosem: „Les Allemands są batiu!" To Juljan Adolf Święcicki dawał ujście swej radości.

Administratorem posiadłości Riond - Bosson był wówczas rzeźbiarz Franciszek Blak, dziś sława na gruncie paryskim i światowym. W wolnych od zajęć chwilach kuł w marmurze, odlewał w gipsie i rzeźbił w drzewie popiersia i kompozycje.

Miss Sulivan, angielska pianistka, Junta Pieńkowska, Lachowska, późniejsza świetna „Carmena", pozowały Blankowi do jego znakomitych rzeźb, będących zadatkami przyszłej sławy.

Cały ten świat artystyczno - intelektualny niesłychanie żywo odczuwał, rozwijające się wypadki dziejowe. Tylko, że wojna, oglądana z Szwajcarji, była jakoby filmem, puszczonym w zwolnionem tempie.

Już pod koniec roku 1915 poczęło się wszystkim dłużyć, a to były dopiero początki. Przecież czas trwania wojny ludzie obliczali na pół roku.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Jakąś okólną drogą dostawaliśmy wieści z kraju, ktoś przyjechał, komu udało się wydostać z zajętej przez Niemców Warszawy.

A w Riond - Bosson pani Wilkońska szykowała prawdziwą polską wigilję...

W narożnym saloniku, będącym wspaniałem muzeum pamiątek i darów, jakie otrzymał Paderewski od swych wielbicieli, ustawiono olbrzymią, sięgającą sufitu choinkę.

W kuchni pan Kazimierz (prawie cała służba, tak w ogrodzie, jak i w domu była polska), znudzony, po wyjeździe Paderewskich, brakiem wystawnych przyjęć, z pasją przyrządzał ucztę wigilijną.

W dużym jadalnym pokoju, gdzie wisi wspaniały tryptyk Malczewskiego p. t. „Wigilja", zgromadziła się wokół tradycyjnego nakrytego stołu, z sianem pod obrusem, garstka szwajcarskich Polaków, wyczekujących końca wojny.

I chociaż panowała serdeczna atmosfera, zebrani, w myślach widzieli się w Ojczyźnie, wśród najbliższych, w własnych domach.

(Dokończenie na str. 26-ej.)

Pielęgnujmy skarby urody!

Podczas letnich wywczasów, szczególnie w górach nad morzem, narażona jest skóra twarzy na szkodliwe działanie słońca i zmian atmosferycznych. W następstwie tych czynników narasta gruba warstwa zrogowaciałego naskórka, co jest równoznaczne z utratą soczystości i świeżości cery. Podczas pobytu zatem na letniskach, należy chronić twarz przed szkodliwemi wpływami, stosując D-ra Lustra krem sportowy „Ultrasol", a w braku tego ochronnego środka — puder egzotyczny oraz róż roślinny D-ra Lustra. Po powrocie natomiast winno się przyniszczoną cerę przywrócić do stanu prawidłowego. Wystrzegać się atoli szablonu, ponieważ innych metod wymaga tłusta, innych zaś — prawidłowa i sucha cera. Celem odtłuszczenia tłustej cery, tudzież usunięcia twardego naskórka, wystarcza częste spłókiwanie twarzy gorącą wodą, mycie proszkiem marmurowym „Miraculum" oraz naparzanie nad parą, **b e z n a t ł u s z c z e n i a**. Prawidłową cerę myje się gorącą wodą i mydłem śmietankowem „Miraculum", suchą zaś — otrąbkami migdałowemi D-ra Lustra, przy pomocy gorącej wody. W obu wypadkach natłuszczać twarz tak przed myciem, jak i naparzaniem kremem „Mira" D-ra Lustra.

Dr. Zenon B.

Piętnaście lat temu

(Dokończenie ze str. 25-ej.)

— No, ale przecież to ostatnia wilja na obczyźnie — wypowiedział ktoś głośno słowa, które nurtowały wszystkich obecnych. To niemożliwe, żeby wojna trwała ta kdługo.

Pod znakiem „ostatnia" łamano się opłatkiem i świadomość ta dodała wszystkim otuchy.

Nam, najmłodszym, a było nas kilkoro, nie potrzeba było dodawać otuchy, gdyż i tak byliśmy podnieceni, w szczególności choinką a raczej tem co się pod nią znajdowało.

Najbliższym prawdy był jednak Jan Kucharzewski, który wygłosił dowcipne przemówienie o tem, jak to za 25 lat, będziemy spędzali wilję w tem samem gronie, przy tym samym stole, daremnie oczekując końca wojny pozycyjnej.

Gdy minął szał prezentów. Ojciec mój siadł do fortepianu i zaintonował „Lulajże Jezuniu"... Jedną po drugiej popłynęły chórem śpiewane kolędy.

Uczyniło się swojsko na duszach, radośnie, jakgdybyśmy byli w wolnej i niepodległej Polsce, o której wszyscy marzyli, a my przeczuwaliśmy.

Lecz nie była to „ostatnia wojenna wilja" i nie wszyscy, przebywający wówczas na obczyźnie, którzy się tem łudzili, doczekali pierwszej gwiazdki we własnym, wolnym kraju.

Wśród książek

Jerzy Bandrowski — W białem miasteczku — Wyd. Polskie R. Wegnera, Poznań, 1930.

Rzecz ta, choć napisana w zaraniu odbudowy naszej Ojczyzny, — w r. 1922-im, nie wiele straciła na aktualności. Bo podobnych miasteczek, jak to, do którego wprowadza nas autor, wiele jest w naszym kraju i nie prędko jeszcze zmienią się warunki.

I cóż z tego, że brak kolei wynagrodziła z każdym dniem rozrastająca się sieć autobusów, i cóż, że tu i owdzie znajdą się ludzie czynu, którzy zdołają tchnąć nowe życie do tych drzemiących w przedziwnym letargu osiedli, kiedy najlepsze siły dążą do wielkich miast, pozostawiając na miejscu woły robocze...



P. Nina Stokowska, wybitna skrzypaczka i laureatka Wyższej szkoły muzycznej Chopina.



P. Iza Faleńska święci triumfy w „Świętym Płomieniu" w Teatrze Miejskim w Łodzi.

Popierajcie L. O. P. P.

Wiele jeszcze pozostało zadań do spełnienia, aby móc wydobyć tysiące małych miasteczek ze wstecznictwa, w które zostały wtrącone przez długoletnią niewolę i wielu ludzi jeszcze brakuje do tej zbożnej pracy, wymagającej niespożytych zasobów energji, a nadewszystko poświęcenia.

Lecz małe, biedne mieściny mają wielką przyszłość przed sobą. Za mało tylko wkłada się w nie pracy, wszystko się robi „na stary ład", a byle czem wkupić się nie można, aby nowe życie zakipiało w tak „wielkim interesie", jakim jest Polska.

Powieść Jerzego Bandrowskiego, nastręcza tyle cennych refleksyj, iż z niekłamanym entuzjazmem polecamy ją najszerszym sferom Czytelników. Posiada ona pozatem nie mniej walorów artystycznych, zarówno pod względem pięknej formy literackiej jak i żywości tonów, z jaką namalowany został obraz „białego miasteczka" oraz plastyczne typy jego mieszkańców — czy to „gulonów", czy też chłopstwa lub inteligencji.

Stolica przed świętami

(Dokończenie ze str. 12-ej)

Kalkulacja sprzedawców choinek jest trudna: przywieźć dużo — koszta większe, i pozostałość niemal pewna. A to co zostanie — już nic nie warte! Jeszcze zabierać na swój koszt po świętach każe Magistrat. To też sprzedawcy choinek, nauczeni doświadczeniem, tego roku sprowadzili dużo mniej drzewek do Warszawy, niż za lat ubiegłych, a pozwoleń na sprzedaż uliczną wydała Inspekcja Handlowa niespełna sto...

*

Coś jest przecież w tem drzewku, tak zwykłem, tak u nas pospolitem, a jednak... Gdy stoi w całej swojej krasie, płatkami sztucznego śniegu osypane, złotem i srebrem lśniące, obwieszone cackami, oświetlone różnokolorowemi światełkami — ma w sobie jakiś czar zaklęty, czy magnetyczny urok, słowem coś, co każe na nie patrzyć, co twarze dziecięce radosnym opromienia uśmiechem, co myśl o „gwiazdce" ponad wszelkie inne wydarzenia stawia...

Choinko zielona! Zrozumieli kupcy twoją wartość atrakcyjną i... reklamową, bowiem, wraz z napisem „Tydzień taniej sprzedaży świątecznej" — stawiają cię na pierwszem miejscu w oknie wystawowem, piękną, strojną w lampki elektryczne zdobną, z wielką gwiazdą na wierzchołku, która ma być... gwiazdą przewodnią dla klijenta, a gwiazdką szczęścia dla właściciela sklepu...

Choinka oczy pociąga, a że w tym roku pp. kupcy bardzo starannie udekorowali okna sklepów — stąd tłok przed oknem. W sklepach zato, niestety, luźno!

Wprawdzie — tradycja nie łatwa jest do pokonania, wprawdzie człowiek gotów jest palto zastawić, byle móc co kupić na święta, ale już i tych, co mają palta do zastawienia — na palcach policzyć można...

Nie było więc tłoku: ani w sklepach kolonjalnych, ani w bławatnych, ani „w czekoladzie", ani w galanterji... Nie było, i pewno już — nie będzie! Ludziska ograniczają się do rzeczy niezbędnych, do najniezbędniejszych. Coprawda — trudno się obyć bez gwiazdkowego upominku, zwłaszcza, gdy człowiek ma żonę i czułe serce. Już na dwa tygodnie żona upomina: „Żebyś mi nic na gwiazdkę nie kupował!" (pierwsze przypomnienie). W tydzień czasu potem — mówi: „Na żadne głupstwa nie wyrzucaj pieniędzy!" W przeddzień Wigilji: „Kochanie! Szkoda gotówki na prezenty! Jeżeli — to już coś praktycznego... Widziałam takie śliczne pantofelki z prawdziwej krokodylowej skórki... Za bezcen...

Czy człowiek, który ma żonę i czułe serce może odmówić jednej, nie raniąc drugiego? Absurd!

Zresztą — z czegoby sklepy żyły... I tak zdarzył się wypadek, że do wielkiego domu towarowego w śródmieściu przyszedł pewien gentleman z żoną po sprawunki. Po pracowitem obejrzeniu wszystkich działów na wszystkich piętrach, gentleman kupił wreszcie paczkę serwetek papierowych!

Co on w tem miał, żeby przyjść po serwetki akurat do tego sklepu i żeby wprzód targować się do upadłego o rower dziecinny, o suknię, o serwis, o smoking, o firanki i o torebkę?

Może lekka forma „przedświątecznego obłędu?" Tajemnicza sprawa...

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200. ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 mm 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy

Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.

Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI — Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.